Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 8 Poznań, dnia 25 kwietnia 1935 Rok V

„Ponad prawami materjalistycznego rozwoju, ponad twórczością państwa, ponad interesami klas, ponad tem wszystkiem, co przemijająca szkoła myślenia wysuwa jako czynnik kierowniczy życia zbiorowego unosi się ambitny duch narodu, dążący do stworzenia swojej rodzimej cywilizacji".

Zygmunt Wasilewski, (O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej)

Tyran

Z wielkiej ilości publikacyj i artykułów, poświęconych zagadnieniom kulturalnym i artystycznym, możnaby sądzić, że przeżywamy okres wzmożonych wysiłków w tej dziedzinie, a w ślad za tem nadzieje obfitego i rzetelnego w tym zakresie plonu. Jak się jednak zdaje to, w stosunku do olbrzymich odmętów zużytej farby drukarskiej i stosów zepsutej bibuły, istotna wartość zdobyczy przedstawia się nieproporcjonalnie nikle. Czemu jednakże należy przypisać to, że ludzie tak się na tematy kulturalne i artystyczne „rozgadali?" Pośród różnych niewątpliwie przyczyn, można tu wskazać na dwie. Najpierw — to ograniczenie i zredukowanie możliwości swobodnego politycznego wyżycia się. Poszukuje się więc dziś innych terenów, gdzieby można się swobodnie, a przedewszystkiem bezkarnie, wyhasać. A dalej świadomość potęgi i siły, jaką dysponuje w społeczeństwie „świat kultury" i „świat artystyczny". Są to więc swoistego gatunku umizgi.

Należy się zastanowić, jaką może mieć podobne mizdrzenie się wartość? Kiedy przyglądamy się historji, to stwierdzamy, że w obrębie wszystkich kultur pozycja społeczna i znaczenie tej osoby, którą określamy mianem „artysty", zmierza ku hipertrofji. Że zachodzi moment, kiedy człowiek ten rzuca na kolana masy i tańczy bezkarnie na ich karkach. Przemienia się w tyrana. I to staje się nieszczęściem dla niego samego. Traci bowiem kontakt ze społeczeństwem. Staje się sam sobie panem, a więc samolubem. Zaczyna kaprysić. Szukać drastycznych efektów. To co dawniej było pełnem wyrazu i treści, teraz jest pustym gestem. Albo zamyka się w sobie i odgradza się hasłem: Odi profanum vulgus, albo też schlebia „najniższym instynktom". Poprostu zepsuty, wywalczonem przez wieki w ciężkich zmaganiach, stanowiskiem i bezwzględnem kredytem uznania staje się zjawiskiem anormalnem, aspołecznem; nie twórczem i organizującem wyobraźnię narodową, ale ją desorganizującem i anarchizującem. Staje się wreszcie uciążliwą dla społeczeństwa naroślą; krzykliwym, zarozumiałym wychowawcą falang coraz gorszych naśladowców, pretendujących do miana „obrońców kultury", dysponujących przemyślnemi środkami teroru. I poco tu do takiego skostniałego klanu „artystów", „krytyków" „von Beruf" umizgać się? Raczej należałoby się odgrodzić od nich chińskim murem, aby nie zarażali młodszych.

Raczej należałoby pomyśleć o wychowaniu nowego typu twórcy, twórcy, nietylko z nadużywanego frazesu, ale z istoty swej uspołecznionego. A człowiek uspołeczniony to przedewszystkiem człowiek skromny, człowiek odznaczający się swoistą pokorą, umiejący z całym krytycyzmem oceniać przedewszystkiem siebie, walczyć o istotną wartość a nie posługiwać się efekciarstwem i obrażać się na tych, którzy odmawiają uznania. Hasłem więc naszem musi być: zwrócić artystę społeczeństwu. Jeżeli społeczeństwo artystę podniosło do roli bożyszcza, to ma dziś prawo, tak, jak Kasprowicz wzywał Boga do podjęcia razem z nim trudu ludzkiego żywota, — wezwać go do szeregu, do spełniania swej roli i swego obowiązku wobec walczących o nowe oblicze świata mas. Tylko bowiem wtedy, jeżeli się istotnie zespoli ze zbiorową wolą mas, będzie mógł być rewelatorem prawdy naszych czasów. Niczego zaś innego, jak tylko tej prawdy, intuicyjnie wypatrzonej, oczekują od niego wszyscy. O zwycięstwo tej prawdy, dziś jeszcze mało rozumianej kruszy kopje na terenie miasta Poznania sen. Seyda.

W związku z tem warto tu przytoczyć słowa deklaracji złożonej przez klub narodowy w Łodzi dotyczące sztuki:

„Idea narodowa nie pozwala na ograniczanie sztuki do ciasnych ram jakiegokolwiek kierunku. Każdy przejaw sztuki, poczętej z instynktu narodowego, pomnaża wartości cywilizacji. Przystępując do pracy nad budowa nowego życia wiecznej i wielkiej Polski obóz narodowy pragnie mieć sztukę żywą, twórczą i wielką, będzie przeto zwalczać tandetę, konwencje i bezduszną rutynę.

Sprawa została postawiona tu odrazu na szerokiej płaszczyźnie. Temsamem wypowiedziana została z jednej strony walka wszelkiego rodzaju „kiczowi", „narodowego kiczu" nie wykluczając, z drugiej zaś miano twórcy narodowego nie zostało zacieśniane do tych, którzy się za takiego uważają, a których twórczość, poza używaniem czysto zewnętrznie takich czy innych narodowych haseł, z nacjonalizmem nie ma nic wspólnego, ale z całą świadomością przyznane tym, którzy w tajniki ducha narodowego z całą odwagą i bez zakłamania wnikają.

Należy wraz z deklaracją łódzką wezwać „całe młode pokolenie artystyczne polskie, aby stanęło z nami do pracy nad budową nowych form życia", w których artysta nie będzie rozkapryszonym tyranem, o ciągle niezaspokojonych ambicjach i pretensjach utrzymankiem, teroryzującym snobów, niezastąpionym w zdobywczym pochodzie zbiorowości czynnikiem harmonji, konstrukcji i twórczego ładu.

S. M.

K. DOBRZYŃSKI, ŁÓDŹ

Zmartwychwstanie

Rozdzwoniły się dzwony na Twe Zmartwychwstnie...
Głoszą wieść tę radosną światu wzdłuż i w szerz.
Rozśpiewały się hymnem wichry i otchłanie,
pochwyciły pieśń cudną serca wiernych rzesz...

Rozdzwoniły się dzwony na Twe Zmartwychwstanie,
uderzają w niebiosa w jeden srebrny ton —
od mórz wielkich, spienionych, po gór śnieżnych granie
i hen... wzbiły się w górę, pod niebieski tron.

Zagrzmiał organ spiżami, zachłysnął się pieśnią
i wypełnił świątynie po wierzchołki wież,
a dźwięk gromki przeleciał ponad nędzy pleśnią
i obudził drzemiących w wnękach nor i leż.

I wypełzli z kryjówek, gdzie czekali końca
i wywlekli nazewnątrz ropnie swoich ran —
poraz pierwszy bez bólu spojrzeli w twarz słońca...
Bo to przecież... tak dzisiaj... dziś zmartwychwstał Pan.

Lecz gdy wyjdzie z kościołów tłum huczny, wesoły
i umilknie już echo niezliczonych stóp —
ech... ich przecież nie wezwą za świąteczne stoły...
Ty się dla nich Chryste znów położysz w grób.

I powloką się zwolna za murów występy,
do swych piwnic i strychów, co dają im schron
i zawieszą w rozpaczy wzrok niemy i tępy
i znów będą czekali na koszmarny zgon.

O!... lecz wierzę, że przyjdzie inne zmartwychwstanie,
że przyjść musi płomieniem wszak Bogiem jest Bóg,
że na wichrach i gromach złoty anioł stanie
i rozdźwięczy nad światem kryształowy róg.

Wtedy wstrząsną się skały i zaryczą morza
i zakipią wulkany bluzgiem wrących grzyw.
Błysk!... Rezedrą się gromów zygzakiem przestworza
i wyłoni się z grzmotów świetlany i żyw.

Hej! — Rozepniesz szeroko przekłute ramiona,
na srebrnych tęcz - łukach różnobarwnych gam
i przytulisz znękanych do świętego łona
i powiedziesz jak dzieci do miłości bram.

Wtedy przyjdzie to wielkie święto Zmartwychwstania
i obejmie miłośnie bezmiar wszystkich pól —
wtedy głodnych i bitych w świecie już nie stanie...
Anioł ogniem wymaże wyraz: l u d z k i b ó l !

W numerze:

KAROL STOJANOWSKI, POZNAŃ

Chłop a państwo narodowe

VI. Z zagadnień narodowego ustroju

Wyłonione przez narodowe rewolucje na zachodzie swoiste narodowe ustroje polityczno - społeczne nie są na razie ani zakończone, ani też ściśle zarysowane. Jest to zupełnie jasne, jeśli się ma na uwadze, że ustroje te dopiero powstają i wypróbowują się w ogniu życia, no i że ciąży na nich niedawna przeszłość bardzo mało mająca wspólnego z narodowym porządkiem rzeczy. Zarówno tedy narodowe Włochy, jak też narodowe Niemcy przedstawiają się w dziedzinie ustrojowej jakby pewnego rodzaju mgławice, w których narazie wre i kotłuje, ale z których wyłaniają się nowe kształty. Przyglądając się temu, co się dzieje w obu wyżej wymienionych krajach, ma się wrażenie, że europejska rewolucja narodowa niesie ze sobą dwa momenty ustrojowe. Są to: sprawowanie rządów politycznych przez jedną partję, służącą ideologji narodowej oraz bardziej zwartą organizację stanowo - korporacyjną narodu, podlegającą partji rządzącej. Oba te momenty są, jak powiedziałem, czemś, co bodaj utrzyma się dłużej aniżeli najpopularniejsza dziś i przesłaniająca wszystko instytucja wodza.

Tymczasem w naszej publicystyce, a nawet w rozmowach prywatnych o obu tych zagadnieniach mówiło się dość rzadko, ulegając raczej dyskusjom naokoło instytucji wodza. Niechęć do zajęcia się temi zagadnieniami jest wynikiem zdaje się złego doświadczenia, jakie Polska zrobiła na rządach monopartyjnych, upostaciowanych u nas w sanacji oraz w nadmiernej ilości żydów w Polsce. Nieraz przecież gasi się dyskusje nad ideą korporacyjną jednem powiedzeniem: ustrój korporacyjny dałby w Polsce za duże wpływy żydom. Abstynencja ta nie wydaje mi się jednak słuszną już choćby z tego względu, że oba momenty ustrojowe idą w kierunku tak zwanego „ducha czasu“, który jak wiadomo, jest siłą nie usposabiającą do walki z nim. Chodzi przecie o tak ważną rzecz, aby polski ruch narodowy nie rzucał sam sobie kłód pod nogi i nie stwarzał pozorów, że jest w sprawie ustrojowej obrońcą starych idei.

Zanim podam kilka bardziej szczegółowych uwag, związanych oczywiście z tematem, tj. zagadnieniem chłopskiem, chcę zwrócić uwagę na pewien moment natury ogólniejszej. Oto wszelkie rozważania nad ustrojem należy zawsze prowadzić uwzględniając wewnętrzne i zewnętrzne położenie państwa oraz jego wewnętrzne i zewnętrzne potrzeby. Żadne może państwo w Europie nie ma tak ciężkiego położenia zewnętrznego i wewnętrznego jak właśnie państwo polskie. Graniczy ono przecie od wschodu i zachodu z państwami o zwartej i silnej organizacji politycznej. Nie można sobie wprost wyobrazić, aby między bolszewicką Rosją a hitlerowskiemi Niemcami utrzymał się twór państwowy, zorganizowany słabiej od nich. Również nie jest do pomyślenia skonsolidowanie polityczne państwa polskiego bez silnej i zwartej organizacji tegoż. Nie do pomyślenia jest naprzykład usunięcie żywiołu żydowskiego z Polski przy ustroju „demoliberalnym“. Mając jednak to wszystko na względzie nie trzeba zapominać i o tem, że dzieje polskie potoczyły się jednak bardzo silnie w kierunku wolności jednostki. To nasze większe zamiłowanie do osobistej wolności spowodowane zostało przez rolę szlachty w przeszłości, półtorawiekową niewolę polityczną oraz przez fakt przewagi liczebnej chłopstwa w naszej teraźniejszości. Cała tedy trudność polega na tem, że podczas, kiedy warunki zewnętrzne i wewnętrzne wymagają silnej i zwartej organizacji, to charakter narodu w pewnym stopniu do niej się nie nadaje. Z tego położenia jest jedyne wyjście w takiego typu organizacji, gdzieby przy zwartości i spoistości była zagwarantowana dość duża wolność osobista i gdzieby z tej wolności naród własnowolnie i ochotnie rezygnował. Chodzi poprostu o narzucenie sobie dyscypliny ze swej własnej woli. Do tego Polacy są w wyższym stopniu zdolni, aniżeli inne narody europejskie.

Wielkie znaczenie i wpływ chłopów w współczesnej Polsce wymieniłem jako jedną z głównych przyczyn polskiego zamiłowania do wolności osobistej. Zrozumiemy to dopiero wtedy, jeśli sobie uświadomimy, że nawet mało zamożny chłop jest dziś istotnym panem siebie. Oparty o swą zagrodę pracuje wtedy kiedy chce i ile chce, poza swoim zagonem zajmuje się on o wiele więcej tem czem chce, aniżeli członek innej warstwy społecznej. Dzieje się to wprawdzie dopiero od dwu pokoleń, ale chłopi przejeli w tej dziedzinie tradycje szlacheckie, podpatrując szlachtę od wieków. A że chłopi tworzą u nas inteligencję, mieszczaństwo i proletarjat, to momenty wolnościowe przechodzą z chłopów i na warstwy z chłopów powstałe. W takiem ujeciu chłop staje sie niejako centraln. zagadnieniem w rozważaniach nad naszym ustrojem. Zwolennicy zbytniego autorytetyzmu w Polsce zachowują się tak, jakby wogóle nie widzieli polskiego chłopa. Zapominają o tem, że bolszewicy na to, aby wprowadzić swój mongolsko - komunistyczny porządek w Rosji, musieli właściwie zniszczyć niezależnego chłopa i przemienić go w fornala pracującego pod nahajem bolszewickiego komisarza. Nawet porządek hitlerowski, który zadał takie cięgi wolności jednostki w Niemczech, został w zasadzie dość poważnie umożliwiony upadkiem niemieckiego chłopa, spowodowanym przez wielkokapitalistyczną i przemysłową gospodarkę w przedwojennych Niemczech. Hitlerowska reforma rolna będzie w dziedznie ustrojowej mieć poważne znaczenie właśnie w kierunku ograniczenia rządów autorytatywnych.

Nie można jednakże wyprowadzać z chłopskiego umiłowania wolności osobistej wniosku, jakoby chlop nasz był skłonny do anarchji i bezrządu. Przy swojem umiłowaniu wolności jest on wybitnie dobrym materjałem społecznym. Mało wymagający, cierpliwy, pracowity i ambitny, a nakoniec posiadający głębokie poczucie prawa i ofiary na rzecz publiczną. Jednem słowem chłop nasz doskonale rozumie ideę porządku społecznego, dyscypliny i ładu. Aby jej się jednakże poddać, musi mieć to głębokie przekonanie, że jest to istotnie ład, dyscyplina i porządek, służące rzeczy pospolitej, a nie szykany, nadużycia, bezprawne i bezpotrzebne odbieranie mu ostatniego grosza..

Biorąc za punkt wyjścia chłopa polskiego, jego stanowisko w państwie, jego poziom społeczno - polityczny i jego polityczne możliwości dochodzę do przekonania, że zarówno rządy jednej partji rządzącej, która w naszych warunkach nie może być żadna partja poza stronnictwem narodowem, oraz ustrój korporacyjny odpowiadają Polsce jaknajbardziej. Oczywiście, że ustrój ten nie może być jedynie formalną kopją wzorów włoskich czy też niemieckich. Obie te instytucje muszą wyróść z polskich potrzeb i polskiego ducha. A ponieważ jedną z najbardziej polskich cech charakterystycznych jest nadmierna ilość żydów, przeto Żydzi nie będą mogli należeć ani do polskiej partji rządzącej, ani też do żadnej kooperacji zawodowo - stanowej. Żyd, zajmujący się n. p. handlem, nie będzie mógł należeć do korporacji kupieckiej, będzie jednakże podlegał jej nadzorowi aż do czasu emigracji z Polski. Korporacja dla dobra polskiego handlu miałaby prawo odbierania żydowskiemu handlarzowi pozwolenia na zajmowanie się tą gałęzią pracy. Tak pojęty ustrój korporacyjny dałby polskiemu narodowi możność planowego rozbudowania naszego gospodarstwa narodowego i unarodowienia tych dziedzin pracy, które teraz są w ręku obcych.

Przejdźmy do korporacji chłopskiej. Byłby to możliwie szeroko pomyślany samorząd chłopski, obejmujący sprawy rolniczo - zawodowe, kulturalne, a częściowo administracyjne i nawet sądowe. Szczegółów oczywiście nie podaję. Myślę jednak, że taka chłopska korporacja odegrałaby wielką rolę w dziedzinie życia polskiej wsi, jej kultury, sposobu życia i postawy politycznej. Poraz pierwszy bowiem od wprowadzenia chłopa do publicznego życia narodu chłop znalazłby się, że tak powiem, u siebie. Wyobraźmy sobie, jakby inaczej wyglądał choćby korporacyjny sejm chłopski aniżeli dzisiejszy sejm w Warszawie, czy nawet sejm z przed przewrotu majowego, gdzie chłop był zawsze majoryzowany, gdzie na interesy wsi realne i konkretne niema nigdy właściwie czasu. W zasadzie przecie nawet, kiedy w sejmie znajdowało się dużo posłów ludowcowych, chłopi byli majoryzowani przez polityków ludowcowych i nie radzono o istotn. potrzebach wsi. W sejmie korporacyjn. miałby zaś chłop naprawdę zastrzeżoną właśnie możność obradowania nad istotnemi potrzebami wsi. Radziłby też tam nad temi potrzebami, gdyż forum dla spraw ogólno-państwowych byłoby inne. Byłoby niem jakieś ciało złożone z przedstawicieli wszystkich korporacyj oraz czynnika w pewnym stopniu centralizującego, nadrzędnego, jakim byłaby rządząca partja.

Aby ustrój stanowo - korporacyjny nie rozczłonkował i politycznie nie zanarchizował narodu musi istnieć ciało, jednoczące naród politycznie w postaci monopolistycznie państwem rządzącej partji. Byłaby to oczywiście dyktatura partyjna, dyktatura pewnego rodzaju elity, oparta na ściśle sprecyzowanych uprawnieniach. Partja rządząca musiałaby być jednak istotną elitą tj. grupą ludzi najbardziej w narodzie czynną, ofiarną, zdyscyplinowaną, moralnie wysoko postawioną. Konstrukcja partji rządzącej musiałaby być tak postawiona, aby nie można się było do niej wśliznąć rozmaitym czwartym brygadom, które do grup rządzących idą tylko dla karjery, dla żłobu, chęci użycia i bezkarności. Poza odpowiedniem wychowaniem członków, które odbywa się przedewszystkiem wtedy, kiedy partja nie jest u władzy, partja taka po dojściu do władzy powinna bardzo obostrzyć dyscypliną partyjną i nadać dla członków partji rządzącej specjalne prawo. Wedle tego prawa członek partji rządzącej powinienby być za wszelkie zbrodnie, wykroczenia i przewiny dwa razy tak ostro karany jak każdy inny obywatel. W partji powinien działać specjalny urząd prokuratorski, którego celem byłoby przestrzeganie czystości moralnej partji. Jedynym przywilejem tej elity byłaby intensywniejsza służba ojczyźnie i sprawowanie wszelkiej władzy politycznej. Aby zaś mimo tego rodzaju zabezpieczeń partja rządząca nie zwyrodniała, nie przeciwstawiała się narodowi, musiałaby być z a g w a r a n t o w a n a u s t a w o w a m o ż n o ś ć życia i działania partyj opozycyjnych, oraz ustawowa możność legalnego zdobycia rządów w państwie przez poszczególne partje opozycyjne. Moment ten uważam za bardzo ważny jeszcze z innego względu. Miałby on bardzo wielkie znaczenie ze względu na asymilację narodową chłopów ruskich i białoruskich. Już samo przebywanie w jednej korporacji stanowo - zawodowej z chłopami polskimi polszczyłoby Rusinów i Białorusinów dość wydatnie. Teoretycznie i ustawowo mieliby też zarówno Rusini jak i Białorusini prawo należenia do partji rządzącej (nie posiadaliby go jedynie żydzi). Oczywiście, że część z nich ściślej zespolona z kulturą polską weszłaby z miejsca do partji rządzącej (dziś już sporo chłopów ruskich należy do stronnictwa narodowego). Część zapewne pozostałaby w ugrupowaniach ukraińskich, ale spora część weszłaby do ogólno - państwowych partyj opozycyjnych, ulegając przez to także polskości.

Tak zorganizowana partja rządząca utrzymałaby się, zdaniem mojem, przy władzy bardzo długo i sprostałaby zadaniu nietylko powszedniego rządzenia narodem i państwem polskiem, ale też mogłaby poprowadzić dalszą uporczywą walkę o zdobycie dla Polski całkowitej niepodległości. Stronnictwo narodowe ma wszelkie szanse na zrobienie ze swoich szeregów właśnie tego rodzaju partji. Działają w tym kierunku nietylko jego zasługi, jego ideologja i myśl polityczna, ale długa i uporczywa walka, jaką ono od lat prowadzi. Walka wyselekcjonuje i wychowa jego szeregi oraz pociągnie w nie najpatrjotyczniejsze i najdzielniejsze zastępy chłopskie, bez których w Polsce nie można ani rządzić, ani też urzeczywistniać wielkich celów politycznych i cywilizacyjnych.

FR. STRZAŁKO, KRAKÓW

O „Megalomanji narodowej”

prof. Bystronia

Nie jestem zawodowym krytykiem, a uwagi poniżej zamieszczone nie mają charakteru recenzji z pracy prof. Bystronia, która ukazała się niedawno nakładem „Roju“. Są to poprostu uwagi, które, jak sądzę, narzucą się każdemu myślącemu człowiekowi po przeczytaniu „Megalomanji narodowej“. W rozdziale pierwszym tej pracy, który stanowi niejako wstęp, zawierający postawienie problemu, spotykamy sądy, które narzucają cały szereg pytań, tembardziej, że wychodzą z pod pióra profesora uniwersytetu.

Na stronie 33 czytamy: „Szlachetny, w wielkim stylu, utopijny idealizm kosmopolityczny pierwszych gmin chrześcijańskich przeciwstawia się doktrynom p l e m i e n n y m, czyli w m y ś l d z i s i e j s z y c h p o j ę ć n a c j o n a l i s t y c z n y m. Walka ta dwuch diametralnie o d m i e n n y c h poglądów stanowi treść dziejów chrześcijańskiego świata“. Co to są „doktryny plemienne“ z czasów pierwszych chrześcijan i co wspólnego mają one z nacjonalizmem XX wieku? Chcielibyśmy, by autor udowodnił szczegółowo tożsamość tych rzeczy, bo my o tem nic nie wiemy. Również nowością jest dla nas „diametralna odmienność“ nacjonalizmu a chrystjanizmu. Byłoby wskazanem, by prof. Bystroń zechciał naprzykład na podstawie pism czołowych nacjonalistów polskich wykazać tę odmienność. Nieco dalej na stronie 43, dowiadujemy się, że „można wynajdować rozmaite środki, półśrodki, można być w pewnych godzinach dnia nacjonalistą, w innych chrześcijaninem . . ., ale nie można pogodzić prawdziwego chrystjanizmu z konsekwentnym, dokładnie przemyślanym imperjalizmem“. Z tego wynika, że nacjonalizm to mniej więcej to samo, co imperjalizm; to też coś nieoczekiwanego, zwłaszcza dla polskiego czytelnika. Jak prof. Bystroń orjentuje się w sprawach politycznych, tego klasycznym przykładem może być twierdzenie, że w ciągu wieków stosunki polsko - niemieckie uległy istotnym zmianom (str. 245).

W dziele prof. Bystronia pojęcie megalomanji narodowej pomieszane jest z pojęiem nacjonalizmu, a ten ostatni zidentyfikowany z szowinizmem. Należy pamiętać, że można być równie dobrze szowinistą nacjonalizmu jak i internacjonalizmu. Zdaje się, że szowinistów tego drugiego typu mamy w Polsce znacznie więcej, niż pierwszego.

Ogólną tendencją książki jest ściśle polityczna chęć zdyskwalifikowania nacjonalizmu, jako czegoś, co wywodzi się z „pierwotnych popędów, które tkwią głęboko w duszy ludzkiej prawami atawizmu“. Na dowód tej pierwotności autor cytuje w drugiej części swej książki mnóstwo przysłów i powiedzeń, krążących wśród danej grupy plemiennej w odniesieniu do sąsiadów. Ma to być coś w rodzaju genealogji nacjonalizmu, mającej wykazać jego niskie pochodzenie. Dowiadujemy się więc, że o Mazurach twierdzono, iż rodzą się ślepi, a o Rusinach, że mają czarne podniebienie. Zastanawia nas jednak, jaki to ma związek z nacjonalizmem polskim, z Popławskim, z Dmowskim, z całą polityką obozu narodowego? Niejasnem jest również, co ma wspólnego z megalomanją narodową nazywanie odźwiernego szwajcarem, lub fakt, że Ukrańcy zwą Poleszuków hesztakami? o czem autor informuje nas w dalszych rozdziałach swej książki.

Ogólnie biorąc, nie wydaje się trafnem wybranie Polaków jako głównego przykładu dla tezy o megalomanji narodowej (już sam sposób zbierania i cytowania materjałów na poparcie tej tezy może budzić wątpliwości od czasu, gdy w drugim tomie „Dziejów Obyczajów“ zacytowano słowa Krasińskiego: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“, jako utwór Kochanowskiego, mający zaświadczyć m. in. o przekonaniu szlachty XVI w., że Bóg specjalnie opiekuje się Polską). Czyż nie byłby o wiele charakterystyczniejszy przykład żydów? Pojęcie narodu wybranego jest tak nieodłącznie związane z żydostwem, że aż prosi się, by pisząc o megalomanji narodowej, zacząć od niego. A już kto jak kto, ale polski uczony ma zadanie wyjątkowo ułatwione w tym względzie, zważywszy, że materjał do studjów i obserwacyj znajduje się na miejscu i to w tak imponującej ilości. W tych warunkach jest conajmniej niezrozumiałem, dlaczego profesor Bystroń nie skorzystał z okazji.

WIELKI PARTYKULARZ

Amerykanizm się przejadł. Niedawny jeszcze kult Ameryki, amerykańskiej organizacji życia, dziś należy już właściwie do przeszłości. Europa otrząsnęła się z tego zamroczenia Ameryką i patrzy nieco zdziwiona na ten kraj, który doniedawna tak jej imponował, a który teraz sam moc swego imponowania likwiduje. Okazuje się, że „amerykanizm", który kończy się z zadziwiającą szybkością, był czemś fałszywem, co w samej Ameryce nie wytrzymało próby czasu, a w Europie było czemś, co zaszczepiane nie przyjmowało się na jej gruncie.

Zjawisko kultu Europy dla Ameryki było zjawiskiem poniekąd paradoksalnem. Oto kraj zaludniony przez Europejczyków wytworzył pewną więź społeczną na podobieństwo narodu, uformowaną przez idee idące z Europy i wcielane w życie w tym nowym świecie z dużo większą ścisłością, niż w krajach Europy, gdzie przeszkadzała temu stara kultura, działająca siłą bezwładności. W ten sposób powstała w Ameryce cywilizacja bardzo młoda, będąca niejako córką cywilizacji europejskiej, bo wytworzona przez ludzi z Europy i przy pomocy teoryj europejskich. Córką jednakże bardzo różną od swej matki. To co się wytworzyło w Ameryce, poczęło imponować Europie.

Ale to, co w Ameryce, kraju ludzi nowych, było możliwe, w Europie natrafiało na tysiączne przeszkody starej kultury.

Wreszcie przyszedł moment, kiedy i w samej Ameryce „prosperity" i cały ten sposób i organizacja życia, którego wykwitem jest to słowo — poczęła się chwiać i rysować. Wtedy i Europa otrząsnęła się z uwielbienia dla Ameryki „kraju wszelkich możliwości". Pozostało jednakże zainteresowanie dla kraju, który pozostał niezrozumiały, zainteresowanie dla tajemnicy owych „możliwości".

Objawem tego zainteresowania i prób rozwiązania zagadnienia Ameryki jest książka Bernarda Fay'a p. t. „Roosevelt i jego Ameryka". Fay jest francuskim amerykologiem i prowadzi obecnie w Sorbonie paryskiej wykłady o Ameryce. Książka jego jest próbą rozwiązania zagadnienia amerykańskiej kultury, jako czegoś odrębnego, co powstało obok Europy w pewnej niezależności organizacyjnej, a równocześnie pod wpływem prądów idących z Europy.

Autor charakteryzuje Amerykę jako kraj wytworzony przez Europę.

„Z całą słusznością stwierdzić można — mówi on — że w Ameryce odnajdują się wszystkie elementy Europy. Europa wszystkiemi błędami swojemi zaludniła Amerykę. I to była może największa przysługa, jaką jej oddała. Gdyby Francja nie wypędziła naprzód swoich hugenotów, potem swoich monarchistów, potem swoich bonapartystów, potem swoich zakonnic i zakonników, nie byłoby wcale Francuzów w Stanach Zjednoczonych, gdyby Anglja w siedemniastym wieku nie wygnała swoich dyssydentów, swoich rojalistów i swoich katolików, potem swoich republikanów i miljonów Irlandczyków, gdyby Niemcy swojemi wojnami i rewolucjami nie uniemożliwiły życia swoim rolnikom, intelektualistom, profesorom, nie byłoby wcale Amerykanów — nie byłoby Stanów Zjednoczonych".

Każdy z tych narodów pokolei odkrywal Amerykę i każdemu wymknęła się ona z rąk. Fay przedstawia to w formie takiej oto rozmowy:

„Kolumb szukał złota — mówi Włoch — dla króla katolickiego i wyznawców dla Papieża. Odkrył zaś dzikusów koloru cegły, którzy przechadzali się zupełnie nago i nie umieli niczego się nauczyć, nawet się ubierać, nawet żyć w towarzystwie białych. Powymierali więc, pozostawiając im czczy i rujnujący dym tytoniowy oraz choroby, których przyzwoiciej będzie nie wymieniać. My odkryliśmy Amerykę i za całą nagrodę oni wzgardzili naszą religją, nie chcą pić naszego wina, odtrącają i znieważają naszą rasę.

— Pan masz rację, powiedział Anglik. My również odkryliśmy Amerykę. I zadaliśmy sobie wiele trudu ,by ją odkryć w całości, zaludnić ją, umeblować naszą mową, naszemi prawami, naszemi instytucjami, naszą religją, naszą rasą... Gdyśmy już dokonali tej pracy, Amerykanie, którzy nie chcieli płacić długów wojennych, jakieśmy zaciągnęli w wojnie z Francuzami, zwrócili przeciw nam swoje armaty i nas wyrzucili. I od tego czasu prześladują nas swoją rywalizacją arogancką i skrytą.

— Jesteśmy tyleż winni, co wy — powiedział Francuz — i taksamo zostaliśmy ukarani. Jeśli bowiem wy, Włosi, i wy Anglicy, odkryliście Amerykę, to my odkryliśmy Stany Zjednoczone. Przed panowaniem naszego króla Ludwika XVI, byli to tylko angielscy koloniści, mocno lekceważeni w swojej angielskiej metropolji i bardzo mało znani w Europie. Jak nasi Jezuici i nasi podróżnicy wprowadzili w modę czerwonoskórych z sawann, tak też nasi filozofowie i dyplomaci, nasi dziennikarze i nasi wolnomularze stworzyli modę na I n s u r g e n t ó w. Lansowaliśmy ich, stworzyliśmy ich, opłacaliśmy ich rewolucję złotem i krwią, entuzjazmem i wiarą. Na rzuciliśmy ich obojętności Europy i niechęci Anglji. Ale potem, gdy przyszła nasza rewolucja i nam skolei wypadło bić się z Anglikami, oni się od wszelkiej pomocy odsunęli.

Wszystko to jest bardzo piękne — rzekł Niemiec. Rozumiem skargi wasze, panowie odkrywcy, którzyście ukarani zostali w tem, czem zgrzeszyliście, ale my, Niemcy uczciwi i spokojni, cóżeśmy to my uczynili? Nikt z nas nie odkrył Ameryki i nie zadawał sobie wcale trudu szukania jej, póki miał co innego do roboty. Dopiero, kiedy wy, panowie europejczycy, zaczęliście się u nas instalować, by tu u nas wydawać wielkie bitwy o wolność i demokrację, wtedy my poczęliśmy odkrywać Amerykę na nasze własne konto. Przetransportowaliśmy tam nasze żony, nasze dzieci, nasze piwo, naszą kapustę i nasze kościoły. My pierwsi zaczęliśmy tam należycie uprawiać ziemię wprowadziliśmy tam sztukę robienia kiełbasek parowych, a także muzykę i religijne wstrząśnienia. Odkrycie to nie było tak malownicze, jak Krzysztofa Kolumba, ani takie huczne, jak panów Anglików, ani tak eleganckie i filozoficzne jak panów Francuzów, ale oddało wielką przysługę Amerykanom. Gdzie dziś bez nas byłoby ich rolnictwo, któreśmy stworzyli w osiemnastym wieku? Czem byłyby ich uniwersytety, któreśmy ożywili począwszy od 1840 roku? Jak wyglądałby ich przemysł, któryśmy na sto sposobów pobudzili do rozwoju?

A jednak z pośród wszystkich Europejczyków nas wyszydzano i nienawidzono najbardziej. Ameryka wydała nam wojnę, pogrążyła nas w chwili najkrytyczniejszej — zamknęła dostęp dla naszej rasy".

W ten sposób każdy z narodów włożył w Amerykę coś z własnej cywilizacji. Ogólnie zaś cała Europa dała Ameryce swoje wynalazki, swoją organizację, swoje idee, które stworzyły konstytucję amerykańską. W ten sposób powstała sytuacja paradoksalna. Oto naród bardzo świeży otrzymał to wszystko, co gdzieindziej było wytworem wielowiekowej twórczości kulturalnej, członem niedokończonego procesu. Między pierwotną energją i młodzieńczą naiwnością tego ludu, zebranego z różnych stron świata, a ogromem dziedzictwa po starej Europie, pozostała ogromna luka. Amerykanin korzystał z darów Europy w sposób pierwotny, praktyczny i powierzchowny.

W ten sposób powstało coś, jakby wielka prowincja Europy. Prowincja ze wszystkiemi śmiesznościami, partykularza. Naiwna i powierzchownie traktująca wzory stolicy, ale naśladująca je z całym zapałem i doprowadzająca ich konsekwencje aż do absurdu. Ameryka stworzyła karykaturę Europy. Tej Europy osiemnastego i dziewiętnastego wieku, która dziś się kończy. Dzięki warunkom specjalnym udało jej się to znakomicie i podczas, gdy Europa głosiła hasła materjalizmu, pieniądza i przemysłu, ale nie udało jej się tych pomyślnie przeprowadzić, Ameryce udało się to znakomicie. Doprowadziła bogactwo do absurdu. Zaczęła imponować Europie i oto u szczytu powodzenia zachwiała się i siła tego chwiania obala swój ideał prosperity, wykazuje jego fałsz.

Jest to przysługa, jaką Ameryka wyrządza Europie, przysługa, która przeoczył Fay w rozmowie Europejczyków, narzekających na niewdzięczność Ameryki

Książka Fay'a podzielona jest na trzy części pod następującemi tytułami: „W poszukiwaniu Ameryki". „Ameryka zgubiona" i „Ameryka się odnajduje". W części pierwszej omawia zaludnianie Ameryki ludźmi i ideami przez Europę. Druga część wykazuje skutki tego procesu. Część trzecia wskazuje na odradzanie się Ameryki, czego wyrazem jest wybór i osoba prezydenta Roosevelta.

Trudno twierdzić cokolwiek o tem ostatniem zagadnieniu, nie znając Ameryki, i to niejako przed czasem. Przytem część ostatnia zajmuje się bardziej szczegółowemi zagadnieniami. W każdym jednak razie stwierdzić można, książka Fay'a jest ciekawym objawem tego wzajemnego stosunku, jaki łączy Europę i Amerykę. To zaś spojrzenie na Amerykę, jako na wielki partykularz, mający wszelkie cechy stolicy od strony zewnętrznej, materjalnej strony życia, a za to wiele cech prowincji, w tem ośmieszonem znaczeniu, od strony duchowej — jest ciekawym objawem reakcji na zaślepiony kult amerykanizmu.

I. K. M., Warszawa.

K. DOBRZYŃSKI, ŁÓDŹ

ZADUMA

Ściele mi się z pod palców liljowa zaduma
na biały śnieg,
co się na horyzoncie wraz z niebem pokumał
i legł
bezmiarem.

Raz przestrzenną równiną, raz urwistym jarem
niże się myśli kryształowy ścieg,
gdzieś się krzewy zaplączą, gdzieś schowa się na dnie...
zniknie... przepadnie —
to znów wystrzeli nagle z śniegowej zamieci
i leci
aż po niebios brzeg.

Błądzą oczy, jak pielgrzym zamarłą Via Appia
i snuje się po dalach taflą głodnych lustr
i tęsknią w blaskach słońca co w śniegu się stapia
za tęczą świetlistą...
za jakiemś tchnieniem wonnem... czerwienią soczystą
niecałowanych ust.

Za czynami co jeszcze w mrokach pleśni brodzą,
za lotami co skrzydłem tarczy Boga sięgną
i pieśniami co w sercu dopiero się lęgną
i rodzą...

Za dniem co przyjdzie cudem lazurowych strug
i rozdźwięczy nad szarej codzienności bagnem,
gdy w obłokach tęczowych objawi się Bóg,
a wargi cicho szepną: — już więcej nie pragnę...

Snują mi się z pod powiek przez fioletów smugi,
uczucia, blaskiem złotym, co nigdy nie gaśnie
i grają mi w przestworzach w szlakach niebios długich
kolorowe baśnie...

I oplotły mi piersi i duszę i skronie
i myśli rojących się tłumy
i wyciągam w przestrzenie rozedrgane dłonie,
pełne liljowej zadumy.

NIEMCY MÓWIĄ:

„Teraz kolej na Gdańsk"

Załamana ofenzywa hitlerowska nie oznacza likwidacji hasła powrotu Gdańska do Rzeszy.

W Gdańsku odbyły się wybory do „Volkstagu" (sejmu). Wybory poprzedziła wielka akcja agitacyjna. To wszystko, co działo się w ciągu ostatnich tygodni w Gdańsku, żywo interesowało Polskę i całą Europę. Wytężoną nadzwyczaj prowadzili propagandę hitlerowcy. Do Gdańska zjechali czołowi przywódcy hitleryzmu z ministrami Goeringiem, Goebbelsem i Hessem na czele. O rozpisaniu tych wyborów — obok innych bardzo ważnych względów — zadecydowała chęć wykazania światu, że Gdańsk jest narodowo-socjalistyczny, że hitlerowcy nie mają tu opozycji. Tego jednak wybory nie wykazały. Mimo agitacji, teroru i nacisku hitlerowcy skupili tylko 58 procent ogółu głosów, zdobywając tylko jeden mandat więcej, niż mieli dotychczas. Nie jest więc warta ta skórka tak kosztownej wyprawki. Za wszelką cenę chcieli hitlerowcy skupić 90 procent głosów, byli tego pewni i w agitacji operowali wszystkiemi argumentami, jakiemi w tej chwili dysponuje hitleryzm. A hitlerowcom w ostatnich miesiącach dobrze przecież się wiodło. Wykonali dużo posunięć, które ogółowi Niemców się podobają. Powróciła do Rzeszy Saara, tworzy się w Niemczech regularną armję. Te dwa zwłaszcza fakty, wygrywali hitlerowcy w Gdańsku, niemi chcieli wszystkich przekonać, że każdy Niemiec musi być hitlerowcem.

Nadzieje hitlerowców jednak prysły. Nie utracili władzy w Gdańsku, ale okazało się, że mają w Gdańsku silną opozycję. Przeszło 40 procent ludności Gdańska wypowiedziało się przeciwko hitleryzmowi. Jest to cios, zadany prestiżowi kierowników Trzeciej Rzeszy. Konsekwencje tej faktycznej klęski hitlerowców będą takie, że nie będą oni mogli legalnie zmienić ustroju w wolnem mieście i będą musieli przyjąć decyzję Ligi Narodów w sprawie skarg, jakie złożyła w Genewie opozycja antyhitlerowska.

* * *

Obok sukcesu partyjnego, którego hitlerowcy nie osiągnęli, — przyświecały wyborom inne jeszcze, ważniejsze cele. Chodziło o posunięcie o krok naprzód dążeń niemieckich na wschodzie. Jasno i wyraźnie o tem w Gdańsku mówiono: „Zagłębie Saary jest wolne, teraz kolej na Gdańsk". Takie napisy widzieliśmy w Gdańsku na transparentach. W tym też sensie przemawiali nasyłani z Rzeszy agitatorzy. Chodziło o stworzenie atmosfery, któraby sprzyjała zrealizowaniu hasła „Zurück zum Reich" (Z powrotem do Rzeszy). A wcielenie Gdańska do Rzeszy wielkie miałoby następstwa. Chociaż w Gdańsku dziś panami są Niemcy, to jednak wolne miasto leży w ramach polskiego obszaru celnego i dyplomatycznego. Z portu gdańskiego Polska ma prawo korzystać; prowadząc dobrą politykę, możnaby w Gdańsku umocnić polski stan posiadania, conajmniej zaś można być panem jego portu, którego rozwój zupełnie zależy od Polski. Powrót Gdańska do Rzeszy byłby przekreśleniem naszych nieprzedawnionych praw historycznych do niego, poważnem uszczupleniem naszej pozycji nad morzem.

* * *

Hitlerowcy w propagandzie swojej cele partyjne łączyli z dążeniami niemczyzny. Okazało się to wielkim błędem taktycznym. Ale nie łudźmy się, że niepożądany przez hitlerowców wynik wyborów przekreśli hasło „Zurück zum Reich". Hasło to wyznawają także ci, którzy głosowali przeciwko hitlerowcom. Niemcy Gdańska się nie wyrzekły. Gdańsk nadal jest najbliższym etapem ich dążności ekspansywnych. Po zaborze Gdańska zaczęłyby Niemcy dążyć do pozbawienia Polski tych ziem, które stanowią zaplecze portu gdańskiego, ziem zachodnich.

* * *

Takie są rzeczywiste dążenia Niemiec. Zagranicą znają je nieraz lepiej niż w Polsce. Stąd to wielkie zainteresowanie świata wypadkami w Gdańsku. Polska, ludzie nią rządzący, winni na te sprawy mieć trzeźwy pogląd. Niestety ze strony polskiej nie widzimy czynów, któreby w Gdańsku nas umacniały. Nie chodzi tu o Polaków w Gdańsku. Polacy poszli do wyborów z jedną listą i zyskali daleko więcej głosów, niż w poprzednich wyborach. Mało czyni i w sprawy Gdańska wkracza rząd polski! W cieniu „porozumienia" z Niemcami pozwala się na jawne nadużycia w Gdańsku. Nadużyciem było to, że do Gdańska przyjeżdżają ministrowie niemieccy. Nadużycie to było tem większe, że premjer pruski Goering, przyjechał do Gdańska na polski obszar dyplomatyczny, w mundurze generała armji niemieckiej, która powstaje przez złamanie przez Niemcy traktatów pokojowych. Wysłannicy Berlina prowadzą w Gdańsku propagandę przeciwko porządkowi, ustalonemu przez traktaty pokojowe, jawnie mówią, ze „prawem natury" będzie musiał świat uznać, że Gdańsk musi powrócić do Rzeszy. Na to i na uszczuplanie praw polskich w wolnem mieście Gdańsku Polska ma możność i nie powinna pozwolić. Na tym odcinku niestety Polska dzisiejsza nie używa silnej ręki. Ponieważ Niemcy w tej chwili w Gdańsku widzą swoją bazę operacyjną dla realizowania wrogich nam dążeń, więc dalej pilnie śledzić będziemy musieli bieg wypadków u ujść Wisły.

E. P., Gdańsk.

FRAGMENT DRAMATU

„BUNT ABSALONA"

ODSŁONA VI.

Dwór Dawida, przedświt. ABSALON, zdrożony, szary od pyłu, zgorączkowany, czeka na TAMARĘ, która wbiega z niepokojem.

SCENA I.
ABSALON, TAMARA.

TAMARA.
Poco mię wołasz tak rano?

ABSALON.
Pędziłem co koń wyskoczy
Z obozu.. Dzięki kapłanom,
Których rój ojca otoczył,
Cześć moją tu podkopano! —
(Wskazuje drzwi:)
— Tam sąd nademną trwa!

TAMARA.
Starczy
Twój widok, by zgnieść oszczerców.

ABSALON.
Wskutek zręczności potwarczej
Zachwiano mnie w ojca sercu.

TAMARA.
Niepodobieństwo!

ABSALON.
Ostatnie, —
Czy słyszysz? — ostatnie wyjście
W tobie. Dostałem się w matnię:
Chcą wykląć mnie uroczyście.

TAMARA.
Za co?

ABSALON.
Że sprzyjam poganom.

TAMARA.
Biegnę do ojca, — potwarze
Obalę!

ABSALON.
Jeśli dostaną
Przeciw mnie skargę Joaba, —
— Źle ze mną!

TAMARA.
Boże...

ABSALON (podtrzymując ją)
Tyś słaba?

TAMARA.
To nic, to nic... To wzruszenie...
Suknię mi trochę rozluźnij...

(ABSALON dopomaga jej, nie przerywając gorączkowej, urywanej, twarz w twarz prowadzonej rozmowy).

ABSALON.
Trzeba tę skargę opóźnić.
Czy prawdą jest doniesienie,
Że Joab kocha się w tobie?

TAMARA.
Tak... — Chciałam zwierzyć się wtenczas...

ABSALON.
Proś, niech mię nie gubi!

TAMARA.
Zrobię.
Co chcesz, lecz...

ABSALON.
Już sieć pajęcza.
Mnie chwyta!

TAMARA.
Zerwie ją Joab:
Uczynię wszystko, co zdołam!

ABSALON (ściskając ją).
Dziękuję ci...

(Wchodzi DAWID).

SCENA II.
ABSALON, TAMARA, DAWID.

DAWID.
Córko! Synu!

ABSALON.
Czemu się ojciec przeraża?

TAMARA (cicho).
Zobaczył t a m t e g o czynu*)
Widmo...

DAWID (podchodząc bliżej).
Kapłaństwo oskarża Ciebie, żeś wiary odstąpił.

ABSALON.
Uciszę ten rozruch popi
Zmarszczeniem brwi.

TAMARA.
Skoro przybył,
Sumienie musi mieć czyste.

ABSALON.
Oszczerstwo zgniotę, jak glistę.
Chodźmy!

DAWID.
Stój! W serce patrz: gdyby
Występek tam się ukrywał, —
Uchodź! — na Boga cię wzywam.

TAMARA.
On nie jest winien niczemu!

DAWID.
Tam wszyscy są przeciw niemu: —
Hetmana wezwała Rada.

TAMARA.
Za brata ja odpowiadam!

ABSALON.
Dziękuję!

DAWID.
Zdjęłeś mi kamień
Z serca. Chodź, — ramię w ramię!
(Obejmuje serdecznie Absalona i wyprowadza).

SCENA III.
TAMARA, potem JOAB.

(Wchodzi JOAB, nie widząc TAMARY. Pod koniec tej sceny w drzwiach ukazuje się i chowa ACHITOFEL, podsłuchujący co się dzieje).

TAMARA.
Joabie!

JOAB.
Wstałaś o świcie?

TAMARA.
Wiem że zlecono ci pośpiech,
Lecz wprzódy daj posłuch prośbie.

JOAB.
Mów!

TAMARA.
Brat, kochany nad życie...
(Urywa pod badawczem spojrzeniem JOABA).

JOAB.
Wiem, żeś kochana nawzajem.

TAMARA.
...Brat teraz przed sądem staje. —
Od ciebie zależy — wynik...

JOAB.
Powiedz, co chcesz, bym uczynił?

TAMARA.
Chcę, żebyś sam to odgadnął.

JOAB.
Mów jasno.

TAMARA.
Brat winą żadną
Nie jest splamiony...
(Ostre spojrzenie JOABA).
Mógł błądzić,
Jak każden...

JOAB.
Rada go sądzi
Za niedowiarstwo i rokosz.

TAMARA (dumnie).
On teraz, tam, — oko w oko
Z wrogami — miażdży potwarców!

JOAB.
Więc czego chcesz?

TAMARA.
Byś mu pomógł!
(JOAB odwraca się).
Pomyśl o ojcu mym, starcu...
Cześć ratuj Dawida domu!

JOAB.
Namawiasz mię, żebym kłamał
W obronie twojego brata?
— A jaka będzie zapłata
Za kłamstwo? — Chyba ty sama?
Co? — Przyznaj się, bo czas bieży:
— Za kłamstwo sprzedajesz miłość?

TAMARA.
Kto kocha naprawdę — wierzy, —
A mnie się dotąd marzyło,
Że kochasz..

JOAB.
Nie łącz z ślepotą
Miłości. — Ja tobie dotąd
Wierzyłem, chociaż szczekano,
Że po Amnonie — Absalon
Jest twym kochankiem!

TAMARA.
To podłość!

JOAB.
To prawda, której dowiodło
Twe wstawiennictwo za winnym.

TAMARA.
Przysięgam...

JOAB.
Wybieg dziecinny!

TAMARA.
Na czystą duszę Dawida
Przysięgam!

JOAB.
Najczystszy z ludzi
Też cudzołóstwem się brudził
I mordem pokątnym plamił:
Wszyscy jesteście — ci sami!
Ohyda, — jedna ohyda!

TAMARA.
Nie sądź go, byś sądzon nie był!

JOAB.
Równać mię nie masz potrzeby
Z Dawidem...

TAMARA (przerywa).
Ty byłbyś zwierzem
Dwunogim, byłbyś najmitą
Do rzezi, gdyby nie Dawid!

JOAB.
On mię wysoko postawił,
By strącić na łeb — na szyję
Z sobą — w śmierdzące pomyje:
Kazał mi zabić podstępem
Współbrata, współtowarzysza...
— Gdy byłem bydlęciem tępem,
Tegom wśród bydląt nie słyszał.

TAMARA.
W ogniach pokuty się dźwignął
Ojciec.

JOAB.
Gdy ognie wystygną,
Upadnie znów.

TAMARA.
Skąd wiesz?

JOAB.
Nie wiem, —
I tak jest właśnie najgorzej:
To „nie wiem" — targa mi trzewie,
„Nie wiem", — więc wszystko być może...

(Wychodzi prędko. ACHITOFEL, który był ukrytym świadkiem tej sceny, zbliża się do TAMARY, stojącej bezradnie. ACHITOFEL jest uzbrojony).

SCENA IV.

TAMARA, ACHITOFEL, potem STRAŻ.

TAMARA.
Adonai! Ty mnie poratuj!...

ACHITOFEL.
Nie grozi nic twemu bratu:
Wśród straży — mam wiernych ludzi;
Wszelki gwałt gwałtem zadławię,
Jeżeli radę podjudzi
Pan hetman. Nie bądź w obawie.
(Słychać z oddali okrzyki).

TAMARA.
Tam krzyczą..

ACHITOFEL.
Bo gracz z hetmana:
Umie im podbić bębenka,
Lecz trochę zakrótka ręka,
By sięgnąć — nas!

TAMARA.
Opętana
Wrzawa.

ACHITOFEL.
Jak zwykle na sejmie
Księżym. Gdy władzę obejmie
Absalon, — zamknie im usta.
(Nadsłuchują, gwar po chwili cichnie).

TAMARA.
Co to jest? Krzyk nagle ustał?...

ACHITOFEL.
Pewnie twój brat odpowiada:
— Przez resztę respektu rada
Zamilkła..

TAMARA.
Już znowu wrzeszczą...

GŁOSY (za sceną).
Bezbożnik! Zdrajca! Buntownik!

ACHITOFEL.
Robią się bardzo wymowni.
Straż, do mnie!
(Wchodzi straż).

TAMARA.
Może ich wstrzymam
Od krwi przelewu!
(Wybiega).

ACHITOFEL (za nią).
Już nie ma.
Lekarstwa..

GŁOSY (za sceną).
Na śmierć! Bunt! Zdrada!

ACHITOFEL.
Za mną! Na odsiecz książęciu.
(Wychodzi ze strażą. Krzyki, tupot nóg. ACHITOFEL wraca z ABSALONEM i mówi do straży, która została za sceną:)

SCENA V:
ACHITOFEL, ABSALON.

ACHITOFEL.
Strzeżcie drzwi!

ABSALON.
Hetman ujada,
A wyje ich pięćdziesięciu!

ACHITOFEL.
Rozzuchwaleni są nazbyt.

ABSALON.
Tych wyjców czeredę — w karby
Wziąć muszę: byłem za miękki!
— Im braknie żelaznej ręki.
Żałuję, żem zwlekał dotąd,
Żem baraszkował z hołotą,
Szczędząc przesądów, zwyczajów —
I czart wie czego, gdy tutaj
Potrzeba — grozy i knuta.

ACHITOFEL.
Przejrzałeś nareszcie.

ABSALON.
Szkoda,
Żem twoje rady oddalił:
Straciłem czas i osłabłem.
Dziś sojusz przeciw kanalji
Zawrę z pogaństwem lub z djabłem
I czas odzyskam stracony.

ACHITOFEL.
Wtedy dosięgniesz korony!

ABSALON.
Nim Dawid ludzi przekształci
W aniołów, w świątynię — państwo,
Tron sfora kapłańska zgwałci,
Królów obróci w poddaństwo.

ACHITOFEL.
Tylko chciej: będziesz panował
Natychmiast! — Jam tu pracował
Za ciebie, chociaż wbrew tobie.

ABSALON.
Mów! Wszystko, co radzisz — zrobię.

ACHITOFEL.
W Hebronie wola ludowa
Już ciebie królem okrzyka:
Za tobą jest ziemia cała,
Od pana do niewolnika!
Twa wielkość wszystkich zjednała.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Aluzja do zbrodniczej miłości, jaką żywił dla Tamary jej brat przyrodni, Amnon, zabity przez Absalona.

STEFAN SOBAŃSKI, POZNAŃ

O twórcy melodji „Warszawianki"

(Spowodu 150 rocznicy urodzin 1785 — 1935)

Na okres niewoli przypada imponujący rozwój muzyki „o której Polska" — pisze prof. Jachimecki — „nie zapominała ani w chwilach swojej świetności, ani w chwilach najsmutniejszych, czem właśnie dowodzi, że muzyka płynie z krwi Polaka". Człowiekiem, który rozwojowi temu dał początek i polskiej muzyce przysporzył blasku i chwały, był Karol K u r p i ń s k i, najwybitniejszy przed Chopinem jej reprezentant.

W bieżącym roku przypada 150 rocznica urodzin Kurpińskiego.

Warto poznać życia koleje i dziedzictwo tego, „co pragnął śpiewać dla całego polskiego narodu".

Przyszedł na świat w Roku Pańskim 1785 dnia 6 marca, we wsi Włoszakowice pod Lesznem (woj. poznańskie), gdzie ojciec jego Marcin był organistą i nauczycielem muzyki. Matka pochodziła z muzycznie uzdolnionej rodziny Wańskich. Mały Karolek, ucząc się abecadła muzycznego pod okiem ojca, posiadł je nad podziw rychło. I oto w 12 zaledwie roku życia, wędruje już „cudowne dziecko" do wuja swego plebana do Sarnowy (miasteczko pod Rawiczem. Dziś istnieje w Sarnowie Tow. Śpiewu im. Karola Kurpińskiego), aby z amatorstwa sprawować funkcję organisty w tamtejszym kościele. Wkrótce jednakże miał wypłynąć „na szerokie wody", o czem zadecydowały częste wizyty na plebanji sarnowskiej wujów - muzyków Rocha i Jana Wańskich.

Za sprawą pierwszego z nich, wiolonczelisty prywatnej orkiestry starosty Feliksa Polanowskiego z pod Lwowa, został drugim skrzypkiem tejże orkiestry. W możnym staroście znalazł serdecznego opiekuna i mecenasa. Jeździł do lwowskiej opery, pracował nad nauką kompozycji, studjując z umiłowaniem Haydna i Mozarta, a w roku 1804 dyrygował nawet Cyrulikiem Sewilskim u podczaszego Czackiego. Po śmierci Polanowskiego uczy jakiś czas gry fortepianowej w domu bar. Rostawieckich, by w 1810 r. udać się do Warszawy, gdzie z polecenia Bogusławskiego został przyjęty na drugiego dyrygenta orkiestry operowej, pozostającej pod kierownictwem Usnera. Wnet zyskał sobie szacunek i zaufanie (zastępował Bogusławskiego, gdy ten wyjeżdżał na prowincję), a nadewszystko sławę jako zdolny kapelmistrz i kompozytor.

Przez lat przeszło 30 zajmował stanowisko dyrygenta opery, komponował, uczył i pisał rozprawy z dziedziny muzycznej. W 1823 r. wyprawia się w podróż artystyczną do Niemiec, Włoch i Francji, z której wrażenia utrwalił w sposób żywy i szczery w obszernym pamiętniku. Po powrocie z zagranicy pracował długie jeszcze lata na ukochanej przez siebie niwie, by w roku 1841 usunąć się w zacisze domowe, jako emeryt, utrudzony życiem i rzetelnym wysiłkiem. Żegnało go wtedy grono artystów i kolegów wzruszającą uroczystością w sali koncertowej, wręczając mu pierścień z napisem: „Artyści opery wdzięczni swemu mistrzowi". Umarł w Warszawie dnia 18. IX. 1857 r. w 72 roku życia.

Spuścizna artystyczna Kurpińskiego jest niezmiernie bogata i różnorodna. Prócz tłumaczeń na język polski oper obcego pochodzenia obdarzy ówczesny repertuar przeszło dwudziestoma swemi operami. Do najwcześniejszych należą „Pygmalion" (1808 r.), „Dwie Chatki" oraz „Pałac Lucypera" (1811 r.). Ostatnia z nich osiągnęła 30 przedstawień, zdobywając naszemu kompozytorowi szaloną wziętość, którą następne tego rodzaju dzieła jeszcze bardziej utwierdziły. Nie sposób ich tu wszystkich wyliczyć.

W trzy lata po „Pałacu Lucypera" ukazuje się na scenie „Jadwiga", opera historyczna do tekstu J. N. Niemcewicza, którą określano mianem arcydzieła. Najbardziej jednak — według dr. Cz. K. Mayzela — przejawiła się może indywidualność kompozytorska Kurpińskiego w „Nowych Krakowiakach", w których wykazał także najlepsze strony swego talentu.

Z oper, które powstały między 1817—21 r., cieszył się wielką popularnością „Zamek na Czorsztynie", po którego wystawieniu ofiarowali mu wdzięczni rodacy złoty medal z popiersiem jego i napisem: „Za piękne twory harmonii", oraz list gratulacyjny podpisany przez wiele znakomitych osobistości.

Ostatnią operą Kurpińskiego była „Cecylja Piaseczyńska" (1829). Ale na tem nie koniec. Kurpiński napisał jeszcze szereg drobnych komedjo - oper, kantat okolicznościowych, mnóstwo kompozycyj kościelnych, kilka mszy (rolnicza, artystyczna itd.) hymnów na 3 głosy („Ojcze nasz"), i „Te Deum" z orkiestrą. Jego też zasługą było rozpowszechnianie pieśni kościelnych, utrzymujących się do dziś w naszych kościołach. Skomponował wreszcie wiele pieśni świeckich, kilkanaście porywistych mazurów i pełnych staropolskiej zamaszystości polonezów.

Osobno wypada podkreślić działalność Kurpińskiego, jako natchnionego pieśniarza - muzyka powstania listopadowego. Napisał bowiem wtedy wiele marszów i piosenek dla bohaterskich powstańców, wtedy powstała również przepiękna melodja „Warszawianki", melodja o nadziemskiej mocy i wezbranem do najwyższej potęgi uczuciu narodowem. Wnet była na ustach wszystkich, rozbrzmiewając nietylko w szeregach walczących o wolność, ale wszędzie tam, gdzie biły polskie serca! . . . Mało znanym jest fakt, że słowa „Warszawianki" wyszły z pod pióra Francuza Kazimierza Delavigne, który przesłał swoją „Varsovienne" Polakom przed bitwą pod Grochowem. Tłumaczenia dokonał Kazimierz Karol Sienkiewicz. Nas jednak na tem miejscu obchodzi przedewszystkiem melodja „Warszawianki", która przetrwawszy lata niewoli, doznaje w Polsce odrodzonej ponownego rozpowszechnienia przez „Hymn Młodych".

Kurpiński zasłużył się nadto, jako założyciel pierwszego w Polsce czasopisma muzycznego p. n. „Tygodnik Muzyczny" (1820 r.), który po pewnym czasie zmienił nazwę na „Tygodnik Muzyczny i Dramatyczny". Przynosił rozprawki estetyczne, artykuły z pedagogiki i notatki historyczne (spis oper granych w teatrach warszawskich od założenia polskiej sceny do 1820 r.), ale najcenniejszą rzeczą dla historyka — pisze prof. Józef Reiss — są dodatki nutowe, zawierające prócz kompozycyj obcych kilka kompozycyj polskich, głównie Kurpińskiego.

Imał się także Kurpiński pisania dzieł z teorji muzyki (np. „Wykład syntetyczny zasad muzyki na klawikordzie" z 1819 r.; „Zasady harmonii" z 1821 r.; „Rzut oka na operę w Polsce" z 1844 r.). Pełnił wreszcie misję pedagogiczną, udzielając lekcyj śpiewu i muzyki jeszcze przed powstaniem konserwatorjum, którem kierował Elsner. Po upadku zaś tej instytucji uczył w szkole śpiewu przy operze warszawskiej (1835 r.). Do liczby jego uczennic należała m. in. i żona jego Zofja z Brzozowskich.

Już z tego pobieżnego przeglądu pracy Kurpińskiego widać, jak szerokie kręgi obejmował jego twórczy duch! Kurpiński był przedewszystkiem pierwszym polskim kompozytorem operowym, a jego naczelną troską było unarodowienie opery w Polsce. Uprawiał wszelkie rodzaje muzyki, aby tylko podnieść poziom polskiej kultury muzycznej. I jeśli Warszawa w I. poł. ub. wieku urosła do bardzo żywotnego ośrodka ruchu muzycznego — duża w tem zasługa Kurpińskiego. Był on duszą tego ruchu i niezmordowanym jego pionierem. A talent miał niepospolity. Nie mógł go jednak należycie rozwinąć, gdyż był jedynie samoukiem. „Obdarzony inwencją melodyjną" — czytamy w „Historji Muzyki" Reissa — nie miał niestety gruntownej wiedzy teoretycznej, podobnie jak większość ówczesnych kompozytorów polskich przed Chopinem". Tem większa jednak zasługa Kurpińskiego, że wybił się na czoło ówczesnych muzyków, zdobywając tak zaszczytne i odpowiedzialne stanowiska dyrygenta, a następnie dyrektora opery. Miło też stwierdzić, że pracy jego towarzyszyło uznanie społeczeństwa polskiego. Kurpiński był w swoim czasie niesłychanie lubiany, szanowany, a co najważniejsze doceniany przez rodaków już za życia. Wszystkie jego utwory były przyjmowane z serdecznym entuzjazmem, bo we wszystkich przejawiał się nawskroś narodowy charakter.

Chopin w „Fantazjach na tematy polskie" i Moniuszko w wiązance melodyj „Wspomnienie z opery Zamek na Czorsztynie" złożyli przepiękny hołd Kurpińskiemu, swemu wielkiemu poprzednikowi.

A czy dziś wdzięczność nasza dla niego miałaby być mniejsza? Stanowczo nie! Razem z pieśnią niech się rozprzestrzenia sława twórcy „Warszawianki" — Karola Kurpińskiego.

N. POCZOBUT-ODLANIECKA

W NOC DESZCZOWĄ

Goryczą przedwiekową bulgocze
Krew w żyłach w deszczowe noce.
Pełno w niej zdrad niepomszczonych
I wielkich uraz bez słów:
Czuję, jak w tęgie ramiona
Wbija się ostrość kłów,
Jak w miękkim włosów oplocie
Po cieplem tarzamy się błocie,
Jak zabijamy się skrycie
Za wołu skrwawione mięso,
Które oznacza — Życie.
Krew czyjaś kapie . . . gęsta . . .
. . . .

(Nie, to jest tylko deszcz.)
. . . .

W jakiejś grocie w Neandestalu,
Albo w innem miejscu może,
Na szorstkiem, niedźwiedziem łożu
ktoś kogoś w ślepym zapale
Zakłół kamiennym nożem!
A dziś, w tę noc deszczową,
Czuję, że gdzieś się chowa
Ten zbrodniarz, co życie mi wziął.
Lecz gdzie go szukać, powiedzcie,
W tem wielotysięcznem mieście?

LEONARD TURKOWSKI, POZNAŃ

GŁÓD

I.

Iść długo, długo przed siebie
sam na sam z tym bólem.
A potem?
Kochać się z nim namiętnie
w chlebnych brózdach pól.
Ale tymczasem iść.
Spojrzeniem krwawem i mętnem
cierpienie swe otulić —
i iść — iść — iść.

Ja wiem:
Tam, jak i tutaj też rośnie chleb —
jak wszędzie.
Ja — wiem —
tam, jak i tutaj, cierpieć trzeba
też.
To nic:
Ta czarna gleba
(nie każdy ją posiądzie)
jest dla mnie snem:
To nic —
Trza śnić i kochać swój sen.

Więc pójdę.
A potem to:
rzucę się na ziemię
twarzą w chlebodajny gnój
i skrętem kiszek nieziemskim
uściskam ból — moje kochane zło —
moje jedyne, słodkie brzemię —
i szepnę lubieżnie, szaleńczo:
o, mój, ty mój, ty mój . . .

II.

Wyć? poco?
Przyczaić się gdzieś pod płotem,
jak kot,
sunąć jak pchnięty procą
i prawą ręką — — —
a potem —
czemś bez imienia
mordować tę mękę
chcenia.
A potem usiąść na trawie
spryskanej srebrną rosą
i podłożywszy pod spodnie
gazetę ze statystyką miłosierdzia,
spojrzeć w lusterko pogodnie
i palić papierosa.

III.

A jednak tak źle nie jest,
bo jestem przecież wesół.
Na niebie oszalałem
grzeszne mi słońce jaśnieje:
Żarem dowcipnym i śmiałym
namawia mnie do grzechu:
zgrzeszyć, zapomnieć i umrzeć . . .

Właśnie to: umrzeć.
O, Boże!
Powiedz. Ty wiesz podobno.
Zali to będzie dobrze
rzucić to wszystko i pójść?
Już więcej nigdy nie wrócić
na świat ten kochany mój?

Ten głód, ten głód porzucić? — — —

IV.

(Ktoś kiedyś wiersz ten będzie czytał) — —

Zdziwisz się, czytelniku,
dziwnemu cierpieniu temu.
Cierpienie zwykło być banalne,
jak kwiatek w wazoniku.
Nie chcę ci kłamać, żem rwał serce,
żem jęczał, płakał, zgrzytał.
Idź za mną głodny, zrozpaczony
zwyczajną miejską ulicą.
Sądzisz, że w męce i boleści
będziesz rozpływał się w nicość?

Świat nie jest bynajmniej bólem przysłoniony.
Wpada we mnie gwałtownie
jak akord dzikiego tanga,
szybko, jak tramwaj.
Głodne serce
chwyta zapachy upragnione:

Tramwaj.
Tramwaj jadący
pachnie, jak grochówka z szynką.
Bruk,
jak chleb z twarogiem.
Kwitnące obok akacje,
jak omlety, obłożone cienko
konfiturą: wiśnie, morele, lub jagody.
Dworzec,
jak zakąska na prowincjonalnej stacji.
A koń spocony, o Boże!
jak pieczeń zajęcza w jadłodajni nad morzem.
A w tem wszystkiem tęskny dym motocykla
przypomina złotą przestrzeń, co ścierniskiem
się ściele
i ziemniaki pieczone w popiele.

V.

Zagłodzić się na śmierć.
Paść w tym bezkrwawym boju.
Zakończyć raz nareszcie
te znojne dni bez znoju.

nasycić czemś niepożywnem
łaknienia głęboką mękę:
by nikt nie potrzebował
wkładać mi chleb do ręki.

Sposób: skryć się przed ludźmi
w ciemne i chłodne ukrycia
i głodem tym kielczastym
pożreć w sobie życie.

VI.

Błogosławię was ludzie.
Nie, nie wyklinam was wcale,
żeście w swej potworności
włożyli mi mękę na talerz.

Zaszedłem do czyjejś zagrody
pokazać język zaschnięty:
wypiłem szklankę wody
i więcej mi nie trzeba.
(Jan — święty.
Otwierać nieba!)

Błogosławię was, ludzie.

Łza mi z pod oka ucieka.
Nie, nie.
Trzeba poczekać.

Ostatni dzień jestem z wami.
Już jutro głód mnie nie zbudzi.
Módl się za nami.

Błogosławię was, grzeszni ludzie!

Iżeście każdej chwili
głodnych karmili.
Iżeście pragnącym pić dali,
nagich przyodziali
i w dom przyjęli
wędrujących z bezkresnych dali.
Iżeście więźniów pocieszając, powinność spełnili
swoją,
a mnie, wolnego, zostawili w spokoju.
Iżeście nawiedzali chorych.
Iżeście przysięgli się, gdy umrę,
zasypać mnie ziemią, ułożywszy w trumnę: —
błogosławię was, ludzie!

Ale —
żem swym pługiem nic nie mógł wyorać,
że w walce o BYĆ już się nie mogę porać,
że dziś się pod waszym światem zginam,
żeście w życia tańczącej fali
jednej kropli już miejsca nie dali —
Za to
was
przeklinam!

HILARY MAJKOWSKI. POZNAŃ

Najstarsze zabytki snycerstwa gotyckiego w Wielkopolsce

Okazy rzeźby gotyckiej w drzewie — o ile o Poznań chodzi, — są bardzo nieliczne. Wymienić należałoby przedewszystkiem płaskorzeźbę „Wniebowstąpienia N. Panny Marji", stanowiącą ongi część środkową ołtarza szafiastego w kościele pod wezwaniem św. Wojciecha. Rzeźba ta, jak i dalsze: „Zaśnięcie N. P. Marji"[1]), posąg „Chrystusa Bolejącego"[2]), na ołtarzu bocznym w farze, wspaniała „Pieta" w kaplicy Pana Jezusa przy ulicy Szewskiej, cztery kamienne figury Matki Boskiej z dzieciątkiem, umieszczone na domach starego miasta[3]), kilka rzeźb, znajdujących się w Muzeum Wielkopolskiem i Muzeum Sztuki Kościelnej, oto wszystko ze snycerstwa gotyckiego w grodzie Przemysława.

Odkrycie przez p. dr. Pajzderskiego wspaniałego ołtarza (w roku 1927) „Koronacja N. P. Marji" w kościele drewnianym w Zieleńcu (pow. wrzesiński) dało asumpt polskim historykom sztuki do intensywnej pracy poszukiwania tych bezcennych dzieł snycerstwa gotyckiego w Polsce. I okazuje się, że Wielkopolska posiada w swych świątyniach niejedno dzieło o dużej wadze artystycznej, nieznane częściowo historykom, a tem samem szerszemu ogółowi. Wgląd w te sprawy dał nad dr. Alfred Brosig w wydanej „Rzeźbie gotyckiej", stanowiącej tom II Bibljoteki Zabytków Wielkopolskich[4]), którego „Ołtarze gotyckie" rozpoczęły to piękne wydawnictwo regjonalne z kulturalnej przeszłości ziem zachodniej Polski.

Słusznie konkluduje autor, że dotychczasowe badania nad rzeźbą gotycką w Polsce były prawie wyłącznie poświęcone zabytkom późno gotyckim, pochodzącym z końca 15 lub też przeważnie z początkiem 16 stulecia. Atoli wzmagający się na przełomie tych wieków ruch artystyczny, który wiąże się z nazwiskiem Wita Stwosza i innych artystów, przybyłych z Niemiec południowych do Polski, nie ogranicza się bynajmniej do Krakowa, lecz zaznacza się również silnie w innych dzielnicach Polski. Udało się w ostatnich latach na obszarze Wielkopolskim odnaleźć stosunkowo dość dużą ilość zabytków snycerstwa późnogotyckiego, których opublikowanie przewidują dalsze poszyty Bibljoteki Zabytków Wielkopolskich.

Dotychczasowe luźne bowiem wiadomości o zabytkach wczesnogotyckich odnosiły się częściowo do terenu Małopolski. Nie posiadamy jakichkolwiek prac naukowych, które mogłyby nas należycie poinformować o roli, jaką napewno i Wielkopolska odgrywała w całokształcie średniowiecznej kultury artystycznej w Polsce. Waruki dla prac inwentaryzacyjnych, wymagających wobec braku literatury fachowej, mozolnych poszukiwań, daremnych podróży oraz innych trudów (j. np. fotografowania objektów, umieszczonych bardzo wysoko w słabo oświetlonych kościołach) są dziś arcyniekorzystne. To też podziwiać należy — mimo piętrzących się trudności — zapał młodego historyka sztuki, który nie ustaje w pracy wydobywania na jaw tych zapomnianych pomników z drzewa, rekonstruując najstarsze dzieła gotyku wielkopolskiego.

Trzy zasadnicze rozdziały stanowią metodyczną analizę rzeźb, opublikowanych w ostatniej pracy dra Brosiga. Ołtarze i figury, znajdujące się na obszarze Wielkopolski, cechami niektóre przypominają pracownie śląskie, stąd też trudno jest dojść do nazwisk autorów i ich miejsc zamieszkania. Inne znów wykazują różnice w stylistycznem ujęciu i w artystycznem wykonaniu, tak pod względem techniki, jak i doskonałości formy, zdają się jednak przemawiać zatem, że zostały wykonane w warsztatach miejscowych artystów wielkopolskich. To jest pewne, że na twórczość artystów wielkopolskich oddziaływały pod koniec 15 wieku niewątpliwie wpływy sztuki śląskiej, co wobec sąsiadujących ziem popiera temwięcej nasze twierdzenia.

Jako najstarszą z rzeźb gotyckich wymienić należy figurę „Matka Boska z Dzieciątkiem" (około roku 1390), znajdującą się w kościele N. P. Marji w Inowrocławiu, modelowaną w drzewie lipowem. Również rok 1390/1400 przypisać możemy jednemu z najwspanialszych zabytków, ołtarzowi „Koronacja N. P. Marji" w kościele drewnianym z 18 wieku w Zieleńcu pod Wrześnią.

Ołtarz ten składał się pierwotnie z 22 figur. Do dziś przetrwała tylko część ich porozwieszana obecnie po całym kościele. Brosig zalicza dzieło to do najstarszych ołtarzy gotyckich w Wielkopolsce, a może nawet całej Polski. Przeprowadzając analogję stylistyczną z rzeźbami „mistrza Madonn z lwem", uwydatniającą się pośrednio w pewnych ogólnych założeniach formalnych, dochodzi autor do daty powstania dzieła, niewiele późniejszego od figury inowrocławskiej. Dalsze rzeźby Madonn omawia Brosig kolejnie według przypuszczalnych lat powstania. A więc z roku ca. 1400 „Matkę Boską z Dzieciątkiem" z kościoła w Mądrem (powiat średzki), z roku 1420 „Matkę Boską w otoczeniu czterech św. niewiast" (Muzeum sztuki kościelnej, Poznań), Madonny z Trzemeszna, Iłówca, Czempinia (t. zw. „Piękna Madonna"), Poznania i znajdująca się w zbiorach Tow. Ludoznawczego przypuszczalnie św. Katarzynę. Dwom zabytkom: Madonna z Janówca i ze zbiorów Muzeum Wielkopolskiego przypisuje autor rok 1450.

Drugi rozdział „Rzeźby Gotyckiej" poświęcony jest figurom z wyobrażeniem Matki Boskiej Bolesnej („Pieta"), trzymającej na kolanach martwe ciało Chrystusa. Dzieła podobne pojawiają się w sztuce plastycznej dopiero w pierwszych dziesiątkach czternastego stulecia. Najpiękniejsza „Pieta" z kościoła pokłasztornego w Wągrowcu, rzeźba wielkości naturalnej, kuta w kamieniu wapiennym, wykonaną została prawdopodobnie w Wrocławiu. Pochodzenie wrocławskie rzeźby wągrowieckiej ustala dr. Brosig na mocy podobieństw stylistycznych i technicznych ze słynną „Matką Boską Bolesną" z 1384 r., obecnie w muzeum wrocławskiem, oraz z jej wiernej repliką „Pieta" w Ołtaszynie (pod Wrocławiem). Warsztatowi wrocławskiemu przypisuje autor również figurę w Skulsku (woj. łódzkie), początki 15 wieku rzeźbom w Lądzie i Nowem Mieście (pod Jarocinem).

Na ostatnich kartach mamy omówienie dwóch wspaniałych krucyfiksów. Krzyż z Szamotul o śladach starej polichromji, którego wysokość rzeźby od nóg do głowy wynosi 2 mtr., jest niewątpliwie obok gnieźnieńskiego „krucyfiksu triumfalnego" jednym z najpiękniejszych z gotyku polskiego. Uwagami nad stroną ikonograficzną rzeźb „Chrystusa Bolejącego" w Poznaniu (kościół pojezuicki), Gnieźnie i Wronek kończy autor drugi tom Bibljoteki Zabytków Wielkopolskich.

Nie znamy wszyscy swego, to też należy się spodziewać, że książką zainteresuje się szerszy ogół miłujących piękno Wielkopolski, niemniej uczeni i artyści. Wyróżnić należy piękne fotografje.



Poznań — Kościół P. Jezusa przy ul. Szewskiej.
Pieta, połowa XV. w.



Grodzisk — Kościół parafjalny. Rzeźby z dawniejszego ołtarza szafiastego z wyobrażeniem Świętych Pańskich.
Druga połowa XV. w.

---

1) Muzeum Wielkopolskie, depozyt Tow. Przyjaciół Nauk.

2) Z połowy 15 wieku.

3) Jedna z figur na Jeżycach.

4) „Rzeźba gotycka 1400—1450", Poznań, stron 60+22 tablic ilustracyj. Księgarnia Jan Jachowski.

CEZARY GOŁKOWSKI. POZNAŃ

Nieporozumienia

O dualistycznem pojmowaniu utworu literackiego

Treść! Forma! Bigos pojęć, którym częstują się gościnnie, krytycy, zapijając go, zależnie od upodobania, „czystą" wodą wit(kiewicz)a, lub też karls - irzykowym ekstraktem. Mimo wielu odmiennych poglądów, szczególnie odnośnie do **zakresu** tych pojęć, i krytycy i teore - artre - tycy literatury do archiwum bałamuctw odłożyli — jak kurtuazja nakazuje przesądzić i uogólnić — pojęcie **dualizmu** „treści" i „formy" utworu literackiego, które znów stanowi żelazny reperutar myślowy i językowy t. zw. szerokich warstw społeczeństwa. Jeżeli t. zw. szerokie warstwy wogóle „nadwyrężają", pod tym względem, organ służący niekiedy do mówienia.

Naczynie osobliwego błędu.

Dualistyczne pojmowanie „treści" (w znaczeniu — to co zostało przez utwór wyrażone) i „formy" (jak to coś zostalo wyrażone) utworu literackiego plastycznie ilustrują popularne metafary: „forma" — naczynie, do którego wlano płyn („treść"), lub „forma" — szaty, w które przyobleka się ciało („treść").

Egzorycyzmy.

Omawiany „mit społeczny" o dualizmie „treści" i „formy" zawiera w sobie, implicite, sprzeczność, która, jak djabel wystawia rogi z poza każdego członu metafory i urąga higjenie umysłowej. Bo czem mydło dla ciała, tem logika dla umysłu.

W interpretacji uwarunkowanej przytoczonemi metaforami, „treść" utworu literackiego, jako „treść" psychiki twórcy, jest czemś o **gotowych** już, **niezmiennych** właściwościach, co pozostaje w **skorupie** „formy" takiem, jakie było przedtem, nim stało się „treścią" utworu. Tymczasem — artysta, tworząc, **objektywizuje** swoje przeżycia — wyodrębnia z siebie i swoiście je kształtuje. **Swojej „treści" wewnętrznej** nadaje **zmysłową „formę".** „Treść" więc istnieje w utworze artystycznym, **tylko, jako** ta właśnie **„forma".** Przez fakt nadania jej artystycznego wyrazu, zatraca „treść" swoje właściwości, uwarunkowane **kanonami empirycznego świata,** ulega przetworzeniu, w zależności od praw struktury utworu, stając się poetyckim wątkiem, obrazem itd. **konkretnym przejawem rzeczywistości idealnej,** mającej swój odrębny byt. Czerpany ze świata empirycznego „materjał" (omawiana właśnie „treść"), staje się „zjawiskiem" estetycznem.

Co więc istnieje jako „treść" jednego świata rzeczywistości (świat idealny — utwór artystyczny) nie może być równocześnie — w charakterze tejże „treści" — „treścią" innego świata rzeczywistości (świat empiryczny — zespół przeżyć twórcy), jeżeli utwór artystyczny jest w stosunku do rzeczywistości empirycznej **przetworzeniem** jej, **zreorganizowaniem, w różną od niej,** choć z niej pochodzącą, ale **autonomiczną całość.**

Po zdjęciu rusztowania.

Doszliśmy do stwierdzenia, że **nie istnieją w utworze artystycznym, dające się od siebie oddzielić „treść"** (to co zostało wyrażone), i **„forma"** (jak to coś zostało wyrażone), tylko **utwór artystyczny,** w całości, jest artystyczną **„formą"** danej **przedartystycznej „treści".**

Wiadukt nad przełęczą.

Da się wprawdzie, bez despektu, wydzielić w utworze artystycznym „treść" od „formy", ale na zasadzie **innego rozróżnienia,** niż to, które jest przedmiotem rozważań. Rozumując, że pewne elementy psychiki artysty przetworzone, autonomicznie zreorganizowane i utrwalone, istnieją w utworze artystycznym, tylko, jako „treść" wyrażona, więc tylko, jako „forma" — można mimo wszystko, wyróżnić w utworze „treść" i „formę". Wyróżnienie to ma na celu wyznaczenie **stosunku** między pewną warstwą (indywidualnie i umownie w każdym poszczególnym wypadku wyodrębnianą, a nie wyznaczoną zgóry i bezwzględnie przez strukturę utworu), jako „forma" już istniejącej „treści", a inną warstwą, jako „forma" już istniejącej „treści".

Uwzględnia się więc, w tym wypadku, stosunek „treści w **formie**" (jak pozornie paradoksalnie, ale w sposób najlepiej oddający istotę rzeczy, możnaby określić) do innej „treści w **formie**", która (treść) — jako dalsze stadjum zobjektywizowania warstwy mniej zobjektywizowanej — będzie „formą w **formie**" danej „treści w **formie**". „Formę w **formie**" można znów traktować jako „treść w **formie**" — w stosunku do warstwy jeszcze bardziej zobjektywizowanej itd. Naprzykład: **„temat"**, dany **„wątek"**, **„obraz"** (jako składowy element wątku) itd. — uwzględniam tu kolejność . . . w kierunku coraz silniejszego zobjektywizowania **„formy".** Proces ten daje się odtworzyć zapomocą naukowej analizy. W apercepcji bezrefleksyjnej, emocjonalnej ujmujemy utwór, jako jednolitą, organiczną całość.

Powyższego rodzaju wyróżnianie zaś „treści" i „formy" jest **chwytem metodycznym** analizy estetycznej i liczy sie z adualistyczną istotą utworu artystycznego — w przeciwstawieniu do naiwnych połówkowań „dualistycznych", do których powracamy.

Minerwa na karuzeli.

Zachrzęstnąć może Minerwą, w czyjeś jowiszowej głowie, myśl — chociażby „dualiści" i pętali się po bezdrożach pojęć i odczuwań artystycznych, czy jest to dostatecznym powodem, żeby stawać na koturny teoretyzmu i prawić tyrady?

Otóż krótko, by artykuł nie stracił smukłej linji.

Freudystyczny wprost „kompleks dualizmu" warunkuje fałszywe nastawienie wobec utworów artystycznych. Polega ono na tem, że „dualista" namiętnie węszy w utworze za śladami empirycznej rzeczywistości, za „treścią", mniemając, że znajdzie ją w nim po odrzuceniu „formy", którą znów traktuje, jako pewne, drugorzędne akcesorjum. Niema więc wobec nastawienia estetycznego, które jedynie pozwala dotrzeć do „treści w **formie**" utworu artystycznego („treść" — pluralis). Temsamem zamyka lub utrudnia sobie, conajmniej, wstęp do świata sztuki, pozbawia się specyficznych, poprzez sztukę tylko dostępnych, wartości.

Co więcej, do **faktycznej „treści empirycznej"**, z której korzeniami wyrasta utwór, można dotrzeć jedynie **poprzez „formę"**, w której ta „treść empiryczna" znalazła wyraz czyli tylko poprzez **utwór, jako organiczna, jednolita całość.** W przeciwnym razie, lub przy grubszych niedociągnięciach, ma się możność obracania, jedynie w kole **skojarzeń,** jakie nasuwa utwór. Powraca się więc okrężną drogą do swoich własnych przeżyć, czerpanych z „empirycznej rzeczywistości".

Czyżby nikomu nie zależało na rozszerzaniu i dopełnianiu swego świata światem przeżyć innych ludzi?

Jeżeli „dualista" ze względu na **prawdziwy** charakter swojej apercepcji utworu artystycznego, staje w chwalebnej sprzeczności z samym sobą — ma prawo nie czuć się oczernionym zalewającym go atramentem.

ANTONI BROSZ, KRAKÓW

Antypodzi słowackiej poezji

„Dziejową doniosłość i wprost rewolucję ludzką, kulturalną, literacką i społeczną oznaczał dla Słowaków powojenny przewrót, uwalniający niespodziewanie wszystkie żywioły i możliwości twórcze słowackiego życia, sztucznie zakrzyczanego, zdeptanego i ubezwładnionego wyrafinowanym uciskiem i prześladowaniem madziarskiem".

Do przewrotu literatura słowacka zajęta była przeważnie problemami zachowania narodowej egzystencji. Jej najważniejszem zadaniem było pielęgnowanie języka ojców, budzenie narodowego uświadomienia, słowem hasło: „być i żyć".

Dlatego też, kiedy „konieczność dziejowa postąpiła stumilowemi krokami" i Słowacy naleźli się w nowych warunkach politycznych siłą faktu w literaturze w pierwszym rzędzie nastąpiło głębokie przeobrażenie, sięgające niemal podstaw. Do pióra stanął legjon nowych twórców powojennego pokolenia, który w poezji otrzymał nazwę „Drugiej słowackiej moderny". Jej głównymi przedstawicielami są najwybitniejsi dziś poeci słowaccy: Jan S m r e k i Emil Bolesław L u k a c z, poeci, którzy djamentralnie różnią się od siebie. Różnica ta odbija się wyraźnie tak w typie, jak i w strukturze ich dzieła. Inna jest u każdego z nich postawa w stosunku do życia, inne wartości duchowe i wreszcie inna konkretyzacja myśli.

Jan S m r e k, (właściwe nazwisko Jan Czietek, ur. 1898) jest najwybitniejszym przedstawicielem powojennych tendencyj w poezji słowackiej. W swoim dotychczasowym dorobku poetyckim posiada pięć tomów: „Odsudemj kveczitej żizni" (1922), „Cvalajuce dni" (1925), „Bożske uzly" (1929), „Iba oczi" (1933), „Basnik a żena" (1934).

Pierwszym tomem wszedl Smrek do literatury jako spóźniony dekadent i symbolista. „Na ciężkich gobelinach duszy" rozwieszał symboliczne nastroje i impresjonistyczne smutki nad problemami życia. Wpływ to niewątpliwie starszych poetów słowackich, a w większej mierze „ciężkiej symfonji dekadencji czeskiej i symbolicznej mistyki Otokara Brzeziny. Ale rychło wziął rozbrat z życiową grozą, desiluzjonizmem, a jeszcze prędzej ściągnął „stare szaty poezji tradycyjnej". Odnalazł siebie, spoił się wewnętrznie, stał się radosnym. Symboliczno - dekadencki świat jego pierwszych poezyj musiał ustąpić przed olbrzymim zalewem witalistycznej młodości, „jak noc przed światłem i wspaniałością dnia". Stał się radosnym i ta radość życia i jego uroków, wieczna młodość sprawia, że poeta chwilami czuje się jak dziecko. „Ja mam lat dwadzieścia pięć a czuję się jak pacholątko. Jeszcze bym ręce wyciągnął: Matko!"

Stał się gloryfikatorem życia, przyrody i cywilizacji, a zarazem największym po Sladkowiczu poetą erotycznym. Są w jego erotyce wulkaniczne wybuchy krwi, zmysłów i namiętności, ale ogólnie biorąc jest to raczej „miłość igrająca", nietragiczna. Typowym rysem Smreka jest też to, że u niego i tematy społeczne podmalowane są erotyzmem, czyni to jednak poeta z całą subtelnością swego serca. Ale nietylko erotyka, tematy społeczne i radość życia przepełniają jego poezje.

Nie brak też w nich nowych technicznych zdobyczy, zwraca uwagę na życie wielkomiejskie, cywilizację nowoczesną. Mimo to wśród podziwów, miłości, entuzjazmów, po szczerej idyliczności i miejskich rozkoszach staje Smrek wśród szalejącego labiryntu wielkomiejskiego i poczyna go trapić melancholja wspomnień. Żałuje, że wieś rodzinną porzucił „i strzechę słomiana zamienił i szedl w inny kraj, gdzie zbladło oblicze".

W najnowszej fazie twórczości erotyzm i przeżycia nie opuszczają Smreka, występując w najróżnorodniejszych odmianach. Tem się też tłumaczy fakt, że większość poezyj Smreka obraca się w kręgu kobiety. Jej piękność, fizyczny i duchowy powab, delikatność znalazły w poecie swego piewcę.

Smrek, żyjąc w słonecznych krainach, ma przytem wszystkiem jakąś wielką wiarę w siebie, na wszystko patrzy optymistycznie, jasnem okiem. Życie uważa za największy dar, który każdy powinien należycie pojąć i ocenić; choćby nas nawet gniotła cała kalwarja krzyżów „w życie trzeba wierzyć".

Jego poezja jest do pewnego stopnia poezją ludową, pieśnią duszy ludowej a „Smrek sam — to improwizator - piosenkarz, któremu bardziej zależy na świeżości nowych obrazów, na pięknie rytmicznej intonacji, niż na refleksyności, i głębiach perspektyw, czy analitycznej introspekcji", które przebijają w poezji jego rówieśnika literackiego Emila Bolesława L u k a c z a (ur. 1900), poety cierpień i tragizmu, poety raczej przeszłości, niźli rzeczywistości i dzisiejszości. Wszedł do literatury wraz za Smrekiem, tylko o wiele chmurniej od niego.

W pierwszym tomie pt. „Spoved" przemawia do czytelnika frazeologją spóźnionego romantyka i dekadenta, z wierszy przeziera jakiś żrący żal, nieustanna walka z demonami, chimerami i bezbrzeżnym pesymizmem. Poeta najchętniej wspomina momenty, kiedy miał grzeszyć i żyć miarnotrawnie truty jadem „zupełnej samotności". Czasem sili się na objtktywizację wewnętrznych przeżyć o tem co było, o przeszłości, gdzie się wznosi pomnik „skostniałej winy".

Jest w tym tomie pierwszym Lukacza, jakaś męcząca samoanaliza, zmieszana silnie z kultem egzotyzmu. Jest ktoś odarty z piękna sielskiego dzieciństwa, ktoś kto szczerze szuka wyjścia z zaczarowanego kręgu swojej rezygnacji. Wiersze te pisane pod licznemi wpływami, a to: Verlainea, Baudelairea, Rilkego i Adyego, zdradzają wielką kulturę autora i erudycję.

Czasowy pobyt poety w Paryżu rozszerza jego horyzonty myślowe do czego przyczyniają się niemało studia autorów francuskich, a zwłaszcza tych, z którymi czuje powinowactwo duchowe. Owocem tego pobytu w Paryżu, który mocno poruszył inspirację twórczą poety, był tomik „Dunaj a Seina" (1925). W zbiorze tym Lukacz świadomie pokonuje rozterkę swojej duszy, z miłością garnie się do wspaniałości świata.

W walce o pierwszeństwo olśniewającej obczyzny i domu, pierwszeństwo daje ojczyźnie, gdyż z oddali poznał całe jej piękno. W Paryżu „wszystko to cudze dla mnie, gdzieindziej mój dom, tam między skałami mój przecudowny kraj". Jego myśli rozgwarzaja się chwilami niezwykle pięknie, mową żywą, w której pulsuje krew serdeczna, a w której niema krzty papierowej bladości. Są tu momenty takie, że twórcza fantazja poety opuszcza ziemię i dźwiga się lekkością snów do lotu... Tomik ten jest uważany przez krytykę słowacką za najlepszy z dotychczasowych pezyj Lukacza.

Następny tom jego poezyj „Hymny" (1926) stanowi datę w poprzewrotowej liryce słowackiej. Pisane pod dużym wpływem Paula Claudela, zawierają wiersze religijno-filozoficzne, względnie refleksyjne. Są pełne twórczej imaginacji, lirycznej wyrazistości i przeżyć.

Tragiczny problem miłości uchwycił Lukacz doskonale w dalszym swoim zbiorku „O laske nielaskawej" (1928). W tomie tym występuje poeta znów jako egotysta i wnikliwy analityk „demaskujący świat, aż po same dno iluzjonistycznego pesymizmu". Kocha i nienawidzi. Pragnie kochać, a przecież nie kocha. Jakieś istne pożary palą go wewnętrznie. Bał się doniedawna życia a teraz jest zniechęcony chwilowemi rozkoszami, marnością miłości, jej nierzeczywistością i kłamem.

„Pusty jest świat, miłości w nim niema" — pisze. W kobiecie widzi nieprzyjaciółkę ducha i wszystkich wyższych dążeń. Jest ona dla niego zdradliwą „boginią ziemi". W tomie „O laske nielaskawej", poetyczny nerw tkwi w rezerwuarze wspomnień. Poeta, pozbawiony słodkich chwil przeszłości, odtwarza te uczucia i przeżycia minione, które nigdy nie wrócą. Myśli o ukochanej, o tragiźmie swojej miłości, jej smutnem zakończeniu i ranach niezgojonych. „Funkcjonalizm wspomnień zwiększa i potęguje dualizm praw niższych z wyższemi, ducha i materji, zmysłów i woli."

Punktem szczytowem poezji Lukacza jest tom p. t. „Krizowatky", pełen ciężkiej depresji i fatalizmu, obnażający do korzenia głębokie warstwy Lukaczowej indywidualności, „człowieka niezgojonych ran". Wszystko w tej książce oddycha duszną atmosferą, stłoczoną ciężarem smutku i beznadziei, nieniespokojem i niemal nihilizmem metafizycznym i życiowym. W wierszach tego zbioru daje poeta świadectwo o mocy zła, zwyciężającego człowieka, społeczeństwo i życie. Chwilami wydaje się, że Lukacz zapomina o świecie, że wpada w podziemne głębie swego ja, aby poznać najbardziej wewnętrzny charakter swej duszy.

Jak w „Hymnach" spłacił Lukacz dług Bogu, w „Laske nielaskawej" kobiecie, tak znowuż w tomie „Spew vlkow" (1929) spłaca daninę ojczyźnie słowackiej, której poświęca szereg mocnych twardych strof. Melancholja, smutek, boleść i wszystko owładający pesymizm, są też treścią i ostatniego tomiku p. t. „Elixir" (1934). Charakterystycznym rysem poezji Lukacza obok pesymizmu jest to, że był i jest człowiekiem wiecznie szukającym, a nie mogącym znaleźć, jest z ludzi, którym przy narodzeniu nie świeciła łaskawa gwiazda i którzy wszystko musieli wywalczyć i zdobyć własnem cierpieniem, niezłomną energją i samoudręczeniem. Lukacz to człowiek, który za wszystko krwią zapłacił i kroczy bezustannie za swojemi wizjami i celami. Jest bardziej złożonym typem twórcy, aniżeli Smrek, mniej przystępnym, więcej arystokratycznym i zamkniętym.

Dziś, po kilkunastu latach twórczości Smreka i Lukacza, stwierdzić musimy, patrząc na literackie życie Słowacczyzny, że nazwiska obu poetów stały się symbolami współczesnej poezji słowackiej, symbolami, które „wytwarzają typ duchowy wzajemnie się dopełniający i nierozłącznie istniejący w wyobraźni czytelnika słowackiego".

Ubiegłego roku ukazała się na Słowaczyźnie obszerna monografja o współczesnej poezji słowackiej p. t. „Poezja powojnoweho Slovenska", pióra młodego i ambitnego krytyka J. E. Bora. Książka Bora wywołała wiele sprzeciwów i falę artykułów polemicznych ze strony starszych krytyków, ale młodzi przyjęli ją gorąco.

Artykuł powyższy oparty jest w pewnej mierze na tej obszernej monografji.

JAN MOT, POZNAŃ

Niedyskrecje

Pisać szczerze o różnych przejawach życia w polskiem moczarstwie, o różnych tegoż moczarstwa figurynałach, może tylko straceniec zupełny. Nie odważy się natomiast człowiek, który z grzechotnika i kobry gotów jest zrobić sobie łańcuszek do zegarka, człowiek, który nie obawia się perspektywy wbicia na pal (P. A. L.?).

Weźmy choć wszystkie brudy zakulisowe w naszych teatrach, wszystkie te melpomęty i Melpomendy. Weźmy poniektórych naszych kryty - kanciarzy i recenzjobazgraluchów, tych dzienni- i nocnikowych astronomów gwiazd, poniektórych patronów reformętów teartalnych i innych teatralnych analfatabetyków i analfabeotów. Weźmy poniektórych urzędników Melpomęczeńskich, co to wysiadują sobie hemoroidy na spektakloakach teatralnych, a potem piszą wbrew przekonaniom i naprzekór cierpieniom.

Albo te starszejsze aktryze i prima - tonny (20 centnarów!), co to pamiętają jeszcze wynalazek prochu, jajko Kolumba, bitwę pod Tours i Poitiers, rycerzy okrągłego stołu, epokę kamienną i ucieczkę z raju — a mimo to grają nietylko piętnastoletnich podlotków, lecz niemowlęta w kołysce! Trzeba im wreszcie delikatnie zwrócić uwagę, że co innego znaczy zdziecinnieć, a co innego — być młodym. Trzeba podsunąć jednej, drugiej i dziesiątej takiej komecie rozdział z Goga, w którym Papini pisze mniej więcej tak: Jak dotąd — działalność Woronowa więcej przyczynia się do wzrostu niewinności wśród małp niż nieśmiertelności wśród ludzi. Co znaczy, że nie każdy, komu się wydaje, że jest Faustem, znajdzie swego Mefista...

Lecz to wszystko — to jeszcze dziewicza niewinność. Było, jest i pewno będzie. Tylko naiwniaczek może się dziwić, że tak jest, jak jest.

Że np. trzeciorzędny aktor, Aleksander Węgierkohn uchodzi za pierwszorzędnego artystę.

Że np. traktuje się poważnie nietyle kapłaństwo ile kabotyństwo pewnego Juljusza, który swojemu zespołowi natchnionym głosem tłumaczył, iż aktorowi winien wystarczyć do ekstazy suchy chleb i „przeżywanie", natomiast przeżuwanie zostawował sobie, pochlipując boleśnie, jak dziecię, przerażone we śnie, gdyby na śniadanko nie było bułki z szynką i dobrej kawy.

Tenże to t. zw. nieoficjalnie „fortepianowy kawalarz (od osławionych trików reżyserskich, z których jeden np. polegał na tem, że trupa Don Juana kładł nie na otomanę, lecz na fortepian — żeby było — poetyczniej!!), uchodzi także za genjalnego reżysera, podczas kiedy jest tylko czarującym człowiekiem i świetnym aktorem przy niezbyt częstem oglądaniu.

Że np. histeryczne mioty od kulisy do kulisy dobrej zresztą aktorki, p. Przybyłko uchodzą za ekstrakt artyzmu, a cała ta biegunka sceniczna za fenomen gry.

Że np. ośmiesza się konsekwentnie Fertnera epitetem, „genjalny komik", kiedy Fertner od paru lat jest tragicznie smutnym aktorem, w którym nieuczciwość recenzentów zabija wszelki artyzm, z którego zrobiła clowna, wymuszającego najbardziej niedozwolonemi zabiegami śmiech publiczności.

Że np. policja nie wkroczyla na scenę przed 4 laty, kiedy staruszka Solska, trzęsąc siwą głową, grała amantkę uwodzącą 20-letniego młodzieńca. Recenzenci ślnili się wtedy w pochwałach, pisząc same superlewatywy. To chyba nie jest dżentelmeństwem! A jest natomiast zupełnym brakiem szacunku i dla kobiet i dla świetnej ongiś, ongiś artystki.

Że np. uszło na sucho Węgrzynowi, który w Poznaniu z „Pana Jowialskiego" zrobił plugawą, oślinioną, błazeńsko - pornograficzną farsę.

Że np. pewna wiekowa poznańska primatonna (20 centnarów), o której słusznie powiedziano, iż śpiewa wszystkiemi z wyjątkiem pięknego, ma prometejską odwagę porywać się na role Carmen, Kasi, Rozyny itp. Widocznie ta prima-tonna rozumuje tak: ... dziesięć lat, to to samo, co 20 lat, tylko X razy wzięte...

Dajmy jednak spokój operze. Nic to ze sztuką niema wspólnego, samo ledwo zipie, samo się też skończy. Niema się o co kłopotać. Jak nie kłopocze się fryzjer, że noga od stolu nie ma pedicure...

To więc, powiadam, było jest i będzie. Trzeba tylko nie brać tych rzeczy poważnie, i śmiać się. Poważnie wszystko biorą tylko warjaci (dlatego nimi są!) i niektórzy recenzenci operowi.

Gorzej natomiast jest z tymcz. dyrektorem, tymczas. literackim kierownikiem. Tu jest bagno. Mój Boże! Raz móc się dobrać do tych hochsztaplusiów, merkantyłków Melpomeny, niebieskich ptaków i papierowych kochanków, różnych teofilisów, chytrusów, leniów, i innych jemioł, żyjących z teatru i aktora! Cóż — kiedy policja nie pozwala. Zupełnie zresztą słusznie. Byłaby to konkurencja...

* * *

Nie wiem jak tam dzieje się zagranicą. Lecz wolno mi sądzić, że chyba nigdzie nie pęta się w teatrze tylu niekompetentów, co u nas. I nigdzie chyba prasa nie otacza ich tak czułą opieką.

Są między nimi i ludzie zasłużeni i teatr kochający — lecz niestety — nie wystarczą dobre chęci, tam, gdzie niema iskry Bożej. Niech mi np. wytłumaczy ktoś, jak to się działo, że tyle lat operował w teatrach p. Trzciński?! Bo o tem, że miał się osobiście za genjalnego reżysera i wogóle genjusza — to wiem. I nie to mnie dziwi — Czytałem sporo odnośnej literatury lekarskiej i wiem, co to jest idée fixe. Wiem także o manjakach perpetuum mobile. Znam także „wynalazcę", który od 20 lat pracuje nad modelem składanego parasola, mogącego w razie pogody służyć jako fajka lub namiot.

Nie to mnie więc, powtarzam, dziwi, lecz dziwi mnie, że tyle lat tylu ludzi serjo lub obłudnie kadziło p. Trzcińskiemu jako filarowi polskiej sceny, jako niebywałemu reżyserowi itp. nonsensy.

Pan Trzciński teatr może kocha (choć obserwując go, trudno nabrać takiego przekonania). To jednak, co w teatrach wyczynia wygląda na herostratową robotę.

Jak się przedstawia bilans działalności teatralnej tego polskiego genjusza („genjalny dyrektor, genjalny reżyser" — w Polsce jest djabelnie nudno, sami genjusze, ani jednego szarego człowieka!)?

Teatry lwowskie genjalny p. Trzciński położył na (nisi fallor) 360 000 zł i zwiał, nie dokończywszy sezonu. Ten genjalny miłośnik teatru i fenomenalny dyrektor — reżyser rozwiał w proch i pył legendę sceny krakowskiej, położywszy dwukrotnie teatr im. Słowackiego. Jego działalność reżyserska w Warszawie skończyła się sromotnym exodusem z syreniego grodu. W Poznaniu swem lenistwem tak zapaskudził teatr Polski, że nowa dyrekcja z trudem zdobywa na nowo zaufanie publiczności.

A to, co p. Trzciński wyprawiał z Teatrem Nowym w Poznaniu, ta żałosna degryngolada, która tam dziś panuje, która spowodowała, że 10 lat świetnej przeszłości Teatru Nowego przekreśliło się — to już woła o pomstę!

Oto najdelikatniej skreślona suma działalności tego genjusza (o innych jego sprawkach wolimy zamilczeć!).

I ten człowiek — po przepędzeniu go przez zespół Teatru Nowego miał odwagę „tentować" o Teatr im. Słowackiego w Krakowie — lub przynajmniej takie rozsiewać wieści?

Chyba nie znajdzie się już w Polsce teatr, któryby pragnął takiego przewodnictwa artystycznego. Lada komornik potrafi to samo. Tylko że (taka to już niesprawiedliwość) nikt go nie nazywa z tego powodu genjuszem...

Zakopiańskie wycinanki

„ŚWIĘTO ZIMY“. — KOLOROWA MODA. — PLAGA FOTOGRAFÓW. — BEZKRÓLEWIE. — DWA OBLICZA ZAKOPANEGO.

Święta są w modzie. Postanowiono urządzić „Święto Zimy“ w Zakopanem. Wszystkie te święta urządza się jednakowo. Kolej uruchamia kilka popularnych pociągów. Robi się trochę reklamy w dziennikach, drukuje afisze, na których wymienione są wszystkie imprezy, zawsze mniej lub więcej nieprzygotowane i — jest święto.

Zima zakopiańska bardzo się cieszyła, że się na jej wdziękach poznano i postanowiła ludziom dopomóc. Miano dekorować domy, ale nikomu nie chciało się tego planu realizować: domy stały obdrapane i brudne. Zima, obdarzona lepszem poczuciem estetyki, przysypała je śniegiem i ozłociła słońcem.

Idealnie czyste powietrze pozwalało widzieć dokładnie nawet bardzo odległe szczyty i zdawało się, że góry zbliżyły się do centrum Zakopanego, aby wziąć udział w uroczystościach.

Przyjechało sporo wyższych urzędników, wojskowych, trochę sportowców i masa żydów. Pierwszego dnia wszyscy nowoprzybyli poszli na dancing. Lokale zawsze przepełnione nie mogły pomieścić stale napływających tłumów. Kłęby dymu zacierały indywidualne cechy gości i widziało się tylko zamglone sylwetki bliźniaczo do siebie podobnych ludzi, którzy w takt marnej muzyki dreptali w miejscu, albo, siedząc przy stolikach nakrytych brudnemi serwetami, popijali z brudnych filiżanek nieokreślonego koloru kawę. (W „Kurjerze Poznańskim“ pisała p. Elżbieta Marweg - Piechocka o kawiarni Trzaski między innemi: ... „Gwar głosów, w rękach służby trzaskanie metalu, woń perfum, kaw aromat, tytoniu dym żrący“. „Trzaskanie metalu“ w rękach kelnerów — zgadza się z całą pewnością, zdzierają tam niebywale, ale „kaw aromat“, to jest chyba licencja poetica, albo — poeci nie znają się na kawie).

Drugiego dnia „Święta Zimy“ część mniej wytrwałych ludzi spała, a część zajęła się sportem.

Wdziano narciarskie kostjumy, włożono do sanek nowiutkie narty i pojechali, jedni do Kuźnic, drudzy do Jaszczurówki, naturalnie na dancing.



Gotowanie herbaty na śniegu.

Pijane jeszcze od poprzedniego dnia żydówki zawracały błędnemi oczyma i uśmiechając się do partnerów mówiły sennym głosem:

— Panie, jabym chciała odrobinę szczęścia w miłości.

— Skąd pani wezmę, kiedy tu pewno niema tej płyty, albo dla pani wszystko — i rozpychając swoich współwyznawców dzielny izraelita podążył w kierunku patefonu.

I tak mijały dni „Święta Zimy“. Ludzie spacerowali po Krupówkach, chodzili na dancingi i posyłali znajomym kartki. W końcu zimie się to sprzykrzyło.

To ma być moje święto! Ja staram się, daję wam tyle słońca, tyle puszystego śniegu. Mam tego dosyć! Zima odeszła. — Zerwał się halny wiatr, łamał drzewa, wywracał parkany, zdzierał z domów dachy. Druty przewodów elektrycznych pozrywane. Światło zgasło, telefony popsute. Ulicami płyną strumienie błota.

I tak jeden dzień, drugi, trzeci. Ludzie zaczynają wzdychać, narzekać:

— Taka pogoda, nie można robić wycieczek.

Teraz macie ochotę na wycieczki, oburzyła się zima. Dobrze już ja wam „coś“ urządzę. — Następny ranek cudowny.

Zadowolone żydówki i żydzi wysmarowali się grubo kremami „do opalenia“ i pojechali autobusami do Morskiego Oka.

Mniejwięcej w połowie drogi zerwała się znowu wichura. Zadymka śnieżna. Auta stanęły. Pasażerowie podnieśli gewałt. Musiano łopatami odkopywać autobusy. Strachu się najedli dużo, ale za to potem opowiadali w Zakopanem, że w drodze do Morskiego zasypała ich lawina.

Ale na szczęście wyszystko się kończy. Tłumy na dworcu. Tłok w pociągach. Na peronie, gdzie tak głośno „Izraelici szemrali“, zrobiło się cicho. Dostojnicy bardzo się spieszyli, bo czekało ich urządzanie największego święta.

... Ale od 23. II. do 2. III. nie było prawdziwego „Święta Zimy“. „Święto Zimy“ jest wtedy, jeżeli daleko od uczęszczanych dróg, ozdobionych pomarańczowemi skórkami, daleko od rozkrzyczanych ludzi, na nieskazitelnie białych stokach gór znaczy się ślad swoich nart na nietkniętym, wyiskrzonym śniegu.

Dużo jednak straci każdy chodzący własnemi, choćby najładniejszemi drogami, jeżeli nie ogląda defilady na Krupówkach. Trudno jest pisać o tutejszej modzie. Ludzie nie wiele różnią się od słupów pooklejanych różnobarwnemi afiszami. Kostjumy narciarskie są bajecznie kolorowe. Czerwona koszula, różowe spodnie, czarny sweter, żółty szal i niebieskie rękawiczki w zestawieniu są jeszcze jedną z lepszych kombinacji.

Jednym z najefektowniejszych kostjumów, jakie widziałam w Zakopanem, był kostjum „góralski“ na jednej (powiedziawszy delikatnie) niezbyt wysmukłej żydówce. Białe góralskie spodnie z parzenicami były wyrzucane i zaprasowane „na kant“, przerzucana przez ramię gunia koloru liljowego i do tego góralski kapelusz, związany szeroką aksamitką pod brodą. Czy noszenie tego rodzaju strojów przez tego rodzaju ludzi nie powinno być policyjnie zakazane?

No ale ogólnie wszystkim się to podoba, fotografowano ją na rogu każdej ulicy, rozkosznie uśmiechniętą, albo „na melancholijnie“.

Fotografowie uliczni są jedną z największych plag Zakopanego. Nie można przejść kilku kroków, ażeby nie wetknięto do ręki kartki.

— Sfilmowaliśmy Pana, zdjęcie można odebrać... i t. d.

Można odebrać ... raczej należałoby napisać: musi się odebrać, bo jeżeli ktoś nie pójdzie do fotografa, to fotograf przyjdzie do niego, znajdzie go w pensjonacie, w porze obiadu albo kolacji i powie:

— Fotografja jest gotowa. Nie chcieliśmy, żeby Szanowny Pan sam się fatygował, drobnostka, złotóweczkę.

Najlepsze jednak są fotografje „na zamówienie“.
— Ja to zdjęcie posyłam do Łodzi, pan musi tak zrobić, ażeby wypadło jak najwięcej gór.

I zaczyna się pozowanie. Urocza osóbka wyciąga ręce w stronę Gubałówki. Chciałoby się zawołać nie pokazywać palcem, ale fotograf się spieszy. Zdjęcie wykonane.

Raz jechałam na nartach przez Cyrle. Niedaleko restauracji „Pod 7-miu kołami“ fotografowała się jakaś żydówka.

— Daj pan te kijki! — woła do mojego towarzysza.

Zaskoczony rozkazującym tonem podał, a ona zarzuciła je z fantazją na ramieniu i skinęła na fotografa. Fotografja gotowa.

— Nie widziałam nigdy, ażeby ktoś w ten sposób nosił kijki, zauważyłam nieśmiało, obserwując jednocześnie jej zamszowe pantofelki na wysokich obcasach.

— To pani zobaczyłaś, odpowiedziała, niezadowolona z mojej uwagi.

W całym sezonie odczuwano w Zakopanem brak bóstwa. Z radością patrzono na Krynicę. Szczęśliwa. Ile tam ludzie mieli tematów. Jak był ubrany, ile dawał autografów, gdzie kupił biały kapelusz z piórkiem.

Kto? Naturalnie Kiepura. Zakopane bóstwa nie miało, dawne lwy salonowe (panowie H.) bardzo się oswoiły i straciły przez to na uroku, a ci, co przyjechali, rozmaici przedstawiciele rządu, przyjeżdżali zawsze z jedną ze swoich żon, co w pewnej mierze utrudniało otrzymanie tytułu bóstwa.

Chciano przez pewien czas obdarzyć tem mianem Wieniawę, ale z powodu wyżej wymienionego powodu i jeszcze z jednego powodu tytuł ten się nie utrzymał.

Przed kilku dniami z nastaniem kalendarzowej wiosny skończył się sezon w Zakopanem. Trzeba stwierdzić, że udał się doskonale mimo kryzysu, mimo ciągłych narzekań znalazło się jeszcze sporo takich ludzi, którzy chcieli wyrzucić dużo pieniędzy na zabawę.

Zabawa to jest jedno oblicze Zakopanego. Drugie oblicze Zakopanego jest smutne.

Ci najsmutniejsi ludzie nie mieszkają w ciemnych chatach góralskich, lecz w olbrzymich domach pełnych słońca i wesołej muzyki. Ale ludzie ci nie słyszą muzyki i nie spostrzegają słońca, leżą na wielkich tarasach i myślą. Myślą najpierw o całym świecie, o swoich znajomych, rodzinie, a po upływie kilku miesięcy myślą już tylko o sobie, o swojem nieszczęściu i o swojej śmierci. Stają się przewrażliwieni. Rozdrażnieni stałem myśleniem o chorobie i strasznym sanatoryjnym nastroju gdzie tylko ciągle przelicytowują się, kto miał wyższą temperaturę, komu ile dni przepowiadają życia.

Zdarza się czasem ktoś, kto stara się zmienić ten nastrój.

— Jaką pan miał dziś temperaturę, pytają takiego człowieka. — Ja miałem 37^{5}, a mój sąsiad 37^{8}.

— Ja, odpowiada zapytany, dokładnie pani powiedzieć nie mogę. Dawali mi już dwa termometry, zawsze sztukują, bo jeden nie wystarcza, ale oba przy mierzeniu popękały. Widocznie będzie przeszło 84.

Ale jeżeli takim żartującym nie jest ktoś mniej chory, jeżeli po kilku miesiącach nie wyjdzie, to po półrocznym najwyżej pobycie będzie zupełnie podobny do swoich współlokatorów.

Potężny strach przed śmiercią nie daruje mu żartów, obejmuje go mocnemi łapami i nie wypuści.

Będzie się leczył, leczył z całej duszy, stosował każdą przepisaną kurację, będzie się leczył jak wszyscy przez długie miesiące, a potem jak wszyscy zbuntuje się, nerwy nie wytrzymają rozdrażnienia i obliczy; zostaje mi tyle życia. Muszę je wykorzystać, nie mogę go tracić w „trupiarni“ zawinięty w „naleśnik“. (Trupiarnia w sanatoryjnym języku znaczy weranda, zawinięcie w „naleśnik“ — specjalne zawinięcie kocem).

I zaczynają korzystać z resztek życia, grają całemi nocami w karty, wymykają się na dancingi, tańczą i piją dokąd starczy pieniędzy i sił, a potem ... potem znowu zaczynają się leczyć.

Z. M., Zakopane.

POZNAŃ W KARYKATURZE



Jerzy Popkowski — Prezes Seweryn Samulski

Przyjaciołom, Współpracownikom i Czytelnikom składamy serdeczne życzenia z okazji Świąt Wielkiejnocy

Redakcja i Wydawnictwo

MARGINES PRASOWY

Pochwała jaśniepanów

Poznańskie „Przemiany“, których naczelny redaktor „jest zwolennikiem współpracy z Blokiem“, a które pragną uchodzić za „radykalne“, „lewicowe“ itd. poczytują sobie za zasługę walkę, jaką toczą z „metodami jaśniepańskiemi“ streszczającemi się w takich dewizach np. jak: „zrobić za wszelką cenę z tata warjata“, doprowadzić wszystko do absurdu. W „Przemianach“ z marca np. znajdujemy taką charakterystykę konserwatywnych „Problemów“:

> „Problemy są twarde, bezlitosne „opozycyjne“, wysoko etyczne i ... sentymentalne, gdy chodzi o ulubione i jakże często nadużywane koniki: Bereza Kartuska, Legjon Młodych ...
>
> Ci młodzi ludzie, skupieni pod dostojnemi skrzydłami starego konserwatysty Dunin - Borkowskiego, są przekonania, że spełniają wielką rolę — rolę, której nikt poza nimi nie podejmuje. Stoją na straży honoru, sprawiedliwości, etyki i ... racji stanu, o której nikt inny w Polsce nie pamięta. Tylko oni! Te wysokie koturny, trochę śmieszne dla „peklowanych“ już dzisiaj na konserwę hrabiątek, nie przeszkadzają im stać niezłomnie wobec urojonych represyj, jakie ich niby-to za „prawdę w oczy“ czekają — i dumnie wypełniają bohaterskie piersi, gdy uda się im sprowokować konfiskatę. Niema wtedy dość wielkich czcionek, by całemu światu obwieścić: „drugi nakład po konfiskacie!“‘
>
> Wesoły dzieciaczek „Fr. Czerwiński“, który podobno przedłożył oficjalnym czynnikom świadectwo, że do tej pory używa smoczka i grzechotki, aby wygrać zakład w wyścigu o „młodzieńczość“ — z zamiłowaniem poluje na każdy lapsus linguae, popełniony przez autora z innego pisma. Może zatem zwróci uwagę swemu najbliższemu koledze redakcyjnemu, Ksawciowi Pruszyńskiemu, by na przyszłość nie używał (i to kilka razy pod rząd, ze szczególnem podkreśleniem) nieznanego w języku polskim słówka „każden“. Bo to jest naprawdę kompromitacja!“

Po wszystkich tych i tym podobnych „enuncjacjach“ możnaby sądzić, że mamy w „Przemianach“ pożeracza konserwatywnych jagniątek, które mają wyrość na takichże taranów, czy też bicz na „hrabskie“ kołtuństwo. Myślałby kto ... i pomyliłby się. W hrabskim „Buncie Młodych„ z dnia 3 kwietnia br. mamy wywiad z naczelnym redaktorem „Przemian“ p. J. Wojciechowskim. I oto czego dowiadujemy się. Po uroczystem wezwaniu go do szczerości p. redaktor odpowiada:

> „Bez komplementów muszę stwierdzić, że pismo to należy do czołowych pism młodzieżowych w Polsce. Dysponuje ono przedewszystkiem doskonałym stylem pisarskim swoich współpracowników. To, co piszą w „Buncie“ ma zawsze swój głębszy sens i jest ciekawe. Możemy się na niejedno nie godzić, ale musimy przyznać, że „Bunt Młodych“ pracuje poważnie“.

Można więc powiedzieć, że wszystko to co powiedziano pod adresem „Problemów“, odwołano, mówiąc o „Buncie Młodych“. Należy więc mieć nadzieję, że „Przemiany“ wyjaśnią w najbliższym czasie, jaką widzą różnicę zasadniczą i istotną pomiędzy „Buntem Młodych“ a „Problemami. — P. Wojciechowski nie zgadza się z „Buntem Młodych“ dziś już tylko na ... „n i e j e d n o“. — Oj! Z. P. M. D.! Gdzież to się podziała wasza dawna sława mołojecka. Dziś już i wolnomyśliciele ... i średniowiecze ... cacy i komunizm ... zamało religijny. Oj! oj! na co wam to przyszło. Nic też dziwnego, że coraz łatwiej przechodzą wam przez gardło pochwały dla jaśniepanów. Atmosfera blokowej i bezpartyjnej wzajemnej adoracji udzieliła się i młodym odnóżkom, a raczej podnóżkom. Wszystkich ich razem łączy uwielbienie dla Bloku ... To też nadal pozostaje otwartem pytanie, jakie rzucił pod adresem „Przemian“ „Kurjer Lwowski“:

> „Konserwatyści urządzają polowania dla swoich przyjaciół z Bloku, którzy są przyjaciółmi „Przemian“. A przyjaciele naszych przyjaciół itd. Skądże więc u redaktorów „Przemian“ ta melancholia i ten żal?“

Nic też tu nie poradzi chowanie się za swoja grubą skórę i demonstrowanie wszem wobec swej gburowatości. Wydaje się więc, że w tej atmosferze „Przemiany“ niczego nie przemienią, a mogą być tylko zawadą na drodze do istotnych przemian.

Badajmy mechanizm konserwatywnej obłudy

Trzeba, aby społeczeństwo jaknajdokładniej poznało konstrukcję tego mechanizmu oraz jego działanie, który pozwala nielicznej grupie lewiatańsko - konserwatywnej bałamucić ludzi, pływać i utrzymywać się na powierzchni życia polskiego. Najlepiej badania w tym kierunku przeprowadzać na młodych objektach, które jeszcze zabawiają się w szerokie wywody polityczno - „ideowe“, aby potem zamilknąć i utonąć głęboko w jakieś radzie nadzorczej i „realnem myśleniu“. Nagromadzonego materjału można będzie użyć dla opracowania specjalnego studjum psychologicznego poświęconego obłudzie.

Mówią podobno, że „styl — to człowiek“. Otóż, obserwując pod tym kątem widzenia młodą konserwę, można zebrać cały szereg pouczających spostrzeżeń. Tak jak ona przemawia, mówić może tylko człowiek zatracający wszelaką proporcję między zjawiskami, i zablagowujący i obelgiwujący siebie i innych na śmierć. To polowanie na okazję wywrzeszczenia z bylejakiej przyczyny jest rozbrajające. „Salonowy lew“ musi szukać okazji do potrząsania swą pięknie ufryzowaną grzywką. Taki bunt jest mile widziany, nawet wśród ludzi „dobrze wychowanych“. Jest to znowu okazja do różnych „Och!“ i „Ach, jaki on zdolny“, i do egzaltowania posażnych „lewiczek“.

Napisze ktoś gdzieś np. jakieś głupstwo, jak to się przydarzyło, nie poraz pierwszy zresztą, korespondentowi Otmarowi ze sklerotycznej „Gazety Polskiej“, z którem można rozprawiać się krótko i stanowczo, — to to już jest dla „Buntu Młodych“ wspaniałą okazją do popisu. Przez osiem czy więcej łamów tłamsić nieszczęśnika we wstępnym artykule, biorąc nieszczęsną naszą „rację stanu“ w drżące dłonie i rewolucjonizując się we własnem, „sanacyjnem“ łonie. Wszystko to razem przypomina, żeby użyć obrazowego porównania, figlarnego szczeniaka obgryzającego dziadkowe bambosze.

Rozpętane instynkty

„Gazeta Polska“ w korespondencji z Poznania zwraca uwagę na to, że „Głos“ w tytule używa symbolu, którym posługiwał się rozwiązany O. N. R. Korespondent „Gazety Polskiej“ źle informuje swoje pismo. Powinien bowiem wiedzieć i też z pewnością wie, a zabawia się tylko w Greka, że pismo nasze na długo przez powstaniem O. N. R. symbolu tego używało, dalej, że pismo nasze z O. N. R.-em nic wspólnego nie miało, i wreszcie, że symbol O. N. R. ma cechy odrębne. Jakiż więc mógł mieć cel korespondent „Gazety Polskiej“ wytwarzając podobne sugestje?

Niewątpliwie stosunki demoralizują ludzi. Chroniczna okazja nie jest najlepszym konserwatorem cnoty. Rozpętane instynkty trudno ustrzec przed możliwością łatwego wyładowania się. A dziś stosunki uwolniły z więzów drapieżną potrzebę szczucia i denuncjacji, chociażby fałszywej.

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 7 zł. półrocznie 3,50 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł, 1/4 strony — 70 zł, 1/8 strony — 40 zł, 1/10 strony — 30 zł.

Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Zygmunt Stermiński, w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: J a n W y g a n o w s k i, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: S t a n i s ł a w S i e c i e c h o w i c z, Warszawa.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.